

**PROAVUS**

**ROCZNIK**

**ZAGŁĘBIOWSKIEGO  
TOWARZYSTWA GENEALOGICZNEGO**

**2023**



# PROAVUS

ROCZNIK  
ZAGŁĘBIOWSKIEGO  
TOWARZYSTWA GENEALOGICZNEGO  
NR 1  
2023



pod redakcją  
Andrzeja Ciepała



Sosnowiec łączy

Rocznik ZTG Proavus 2023  
pod redakcją Andrzeja Ciepała

Sylwetki autorów: Bożena Westphal i Andrzej Ciepał

Projekt okładki: Andrzej Ciepał

Grafika na okładce: macrovector – pl.freepik.com,  
Daniel Dawidowicz i Anna Poznar (logo)

Korekta i przygotowanie do druku: Andrzej Ciepał

Sprawy finansowo-techniczne: Marek Pypno

Wydawca: Zagłębiowskie Towarzystwo Genealogiczne w Sosnowcu

Druk: Drukarnia Para w Mechnicach k. Opola

Publikacja została sfinansowana przez Urząd Miejski w Sosnowcu

**ISBN 978-83-967785-0-5**

## Spis treści

	Str.
 Wstęp	6
 Anna Poznar, Bożena Westphal <i>Historia Zagłębiowskiego Towarzystwa Genealogicznego. Zarząd</i>	7
 Beata Abdallah-Krzepkowska <i>Zagłębiowski Kunta Kinte, czyli kilka uwag o tożsamości i genealogii naszego regionu</i>	11
 Andrzej Kotulecki <i>Trzy pokolenia sosnowieckich księgarzy</i>	20
 Andrzej Ciepał <i>Będzińscy Cukiermanowie</i>	37
 Andrzej Ciepał <i>W poszukiwaniu Altka Wienera</i>	53
 Anna Urgacz-Szczęsna <i>Urgacz – jedno z najstarszych nazwisk w Sosnowcu</i>	60
 Marek Pypno <i>Michałowa Stefka – moja Babcia i bobok</i>	63
 Paweł Całka <i>„Śnieżka” – zawiła historia</i>	70
 Anna Poznar <i>Będziński potomek arystokraty z Krymu</i>	76
 Bożena Westphal <i>O umieraniu</i>	79
 Jacek Rykała <i>Ulica</i>	82
 Gabriela Bartnicka <i>Poezja</i>	85
 Sylwetki autorów	87

## Wstęp

■ Moi drodzy, lepiej późno niż wcale! Czyż maksyma ta nie mogłaby posłużyć za wstęp do pierwszego numeru Rocznika ZTG Proavus, lakoniczny wprawdzie, lecz jakże dobitny w przypadku tego periodyku? Jak nakazuje tradycja, a może zwykła ludzka przyzwoitość, we wstępie chcemy wyrazić wdzięczność wszystkim tym, których zaangażowanie i entuzjazm przyczyniły się do jego powstania.

Kiedy narodził się pomysł własnego wydawnictwa? Otóż 4 sierpnia 2022 roku na wakacyjnym spotkaniu ZTG zjawiono się zaledwie pięć osób. Wprawdzie to niewiele, ale jednak wystarczyło, żeby właśnie tego letniego dnia padła propozycja wydawania jakiegoś periodyku o tematyce genealogicznej naszego stowarzyszenia. Inicjatorem przedsięwzięcia był niestrudzony w pomysłach, jak zawsze kreatywny, Daniel Dawidowicz, notabene autor pięknego logo ZTG. Potem nastąpiła tak zwana burza mózgów, a jeszcze później należało oczywiście zabrać się do roboty. Wkrótce Marek Pypno mógł już przedłożyć stosowny projekt rocznika Wydziałowi Kultury i Promocji Miasta Sosnowiec oraz Sosnowieckiemu Centrum Organizacji Pozarządowych z nadzieją na jego pomyślne rozpatrzenie. Tymczasem członkowie i sympatycy ZTG powoli, ale konsekwentnie rozpoczęli przygotowywanie swoich artykułów, opowiadań, fragmentów książek i wierszy mających wypełnić zawartość publikacji – wydanie drukiem własnej twórczości zadziało na wszystkich inspirująco.

Pozostała kwestia nazwy własnej, którą postanowiliśmy nadać naszemu rocznikowi. Uznaliśmy, że skoro istnieją już periodyki o tytułach: „Gniazdo” Wielkopolskiego Towarzystwa Genealogicznego, „Sillius Radicum” Górnośląskiego Towarzystwa Genealogicznego, „Parantelle” Śląskiego Towarzystwa Genealogicznego, „Querenda” Mazowieckiego Towarzystwa Genealogicznego, „More Maiorum” Polskiego Towarzystwa Genealogicznego i inne, to nadanie nazwy „Proavus” Rocznikowi Zagłębiowskiego Towarzystwa Genealogicznego będzie doskonałym wyborem. Słowo „proavus” bowiem w łacinie (a z nią mamy nie jednokrotnie styczność w księgach metrykalnych) oznacza pradziada, przodka, a więc w wolnym tłumaczeniu – praszczura. Uważamy więc, że jest to piękna i adekwatna nazwa dla pisma genealogicznego.

Tak więc oddajemy w Państwa ręce pierwszy numer Rocznika ZTG Proavus, który sfinansowany został ze środków Miasta Sosnowica. Składamy zatem podziękowania Prezydentowi Miasta Sosnowca – Arkadiuszowi Chęcińskiemu, Pełnomocnikowi Prezydenta d.s. Kultury, Rozwoju i Dialogu Społecznego – Michałowi Merciovi, Naczelnikowi Wydziału Współpracy z Organizacjami Pozarządowymi – Paulinie Adamus, Kierownikowi Referatu Kultury i Turystyki – Wojciechowi Skibie oraz Kierownikowi Referatu Projektów Społecznych – Agnieszce Cholewie-Picz. Ponadto serdecznie dziękujemy członkom ZTG oraz naszym bezinteresownym przyjaciółom i tym wszystkim genealogom, regionalistom, społecznikom, bez których zaangażowania ta publikacja nie mogłaby powstać.

*Prezes ZTG Paweł Całka*

## Historia

### Zagłębiowskiego Towarzystwa Genealogicznego

■ Zagłębiowskie Towarzystwo Genealogiczne zrzesza miłośników genealogii z terenu Zagłębia Dąbrowskiego oraz Górnego Śląska. Jego celem jest zachęcenie jak największej osób do poznania historii swojej rodziny, pomoc w odnajdywaniu rodowych korzeni, których świadomość okazuje się niezwykle cenna w zgłębieniu własnej tożsamości. *Na spotkanie może przyjść każdy, kto chce odnaleźć swoich przodków, stworzyć drzewo genealogiczne, nieważna jest profesja, wystarczy zwykła ciekawość. Do poszukiwań potrzebna jest też cierpliwość i zamiłowanie do przeglądania archiwaliów. Wystarczy kartka i długopis. Czasem trzeba podróżować. Jeśli kogoś nie stać, bądź też nie ma czasu, by jechać na drugi koniec Polski, by np. sprawdzić coś w księgach parafialnych, to współpracujemy z towarzystwami w całej Polsce i pomagamy sobie nawzajem* – przekonuje Paweł Całka, prezes Towarzystwa w rozmowie z Anną Malinowską, dziennikarką Gazety Wyborczej, przeprowadzonej 18 września 2022 r. z Pawłem Całką i Anną Urgacz-Szczęsną.

Ale zacznijmy od początku. 7 lutego 2008 r. z inicjatywy Andrzeja Lazara i Jana Jansa powstało Zagłębiowskie Koło Genealogiczne, działające w ramach Śląskiego Towarzystwa Genealogicznego we Wrocławiu. Ci dwaj pasjonaci genealogii, którzy od wielu lat uczestniczyli w spotkaniach Śląskiego Towarzystwa Genealogicznego postanowili zrealizować pomysł powołania do życia terenowego koła, którego prezesem został Andrzej Lazar, lekarz, genealog i regionalista. Jednak pionierskie próby powołania Towarzystwa Genealogicznego na terenie Zagłębia Dąbrowskiego i Górnego Śląska były podejmowane przez nich wcześniej, bo już 15 kwietnia 2007 r. na spotkaniu w Dolinie Trzech Stawów w Katowicach zapadły ważne decyzje. I choć wówczas nie zawiązała się oficjalna grupa, to umocniła się silna grupa mentalna dążąca do stworzenia organizmu genealogicznego dla osób z Zagłębia i Górnego Śląska. Już w kolejnym roku marzenia stały się faktem. W numerze 1/2012 r. Zeszytu Śląskiego Towarzystwa Genealogicznego czytamy: *7 lutego 2008 r. wyjazdowe spotkanie ŚTG w Sosnowcu podczas którego powołano Zagłębiowskie Koło Genealogiczne pod wodzą Andrzeja Lazara.*

Tak więc pasjonaci genealogii dopięli swego i tak przez 8 kolejnych lat członkowie i sympatycy ZKG mogli uczestniczyć w spotkaniach odbywających się w Sosnowcu w Wyższej Szkole Humanitas przy ul. Jana Kilińskiego 43, w każdy pierwszy czwartek miesiąca o godz. 17.00, w sali nr 203 na II piętrze.

Z perspektywy czasu założenie koła wydaje się sprawą niezwykle prostą. A przecież tak niewiele brakowało, aby to wszystko się nie wydarzyło. Jak czytamy w numerze 1/2012 Zeszytu Śląskiego Towarzystwa Genealogicznego w roku 2002 ważyły się losy ŚTG: *Lata 2001/2002 nie były dla ŚTG zbyt rozwojowe, działalność zanikała, na spotkaniach bywało po kilka osób, przewodniczący nie pokazywał się wcale. Edward [Edward Wojtakowski – założyciel ŚTG] poważnie roz-*

*ważał wersje rozwiązania stowarzyszenia. Wiemy, że na szczęście do rozwiązania nie doszło, lecz początki były trudne, nie wliczając tych lokalowych, o których czytamy w numerze 1/2012 Zeszytów ŚTG: Spotkania comiesięczne ŚTG, które początkowo odbywały się w siedzibie przy ul. Dubois 3/1, z powodu fatalnych warunków (brak ogrzewania w zimie, przestarzałe sanitariaty, brudna i skrajnie zaniedbana klatka schodowa w budynku), przeniesiono, za zgodą władz Uczelni do sal wykładowych Instytutu Historii Uniwersytetu Wrocławskiego przy ul. Szewskiej 49. W latach 2003–2004 spotkania ograniczały się głównie do wymiany doświadczeń z własnych badań genealogicznych i budowy drzew rodowych. Od 2005 r. zaczęliśmy wychodzić na zewnątrz z popularyzacją genealogii.*

Pierwszymi członkami Zagłębiowskiego Koła Genealogicznego byli: Andrzej Lazar, Jan Jans, Antoni Sławatecki, Jerzy Bartnicki, Ryszard Liszczyk, Kazimierz Żmija. Szczęśliwie za sprawą charyzmy Andrzeja Lazara i zaangażowaniu wszystkich członków wciąż przybywało pasjonatów genealogii. Nie brakowało spotkań z członkami innych Towarzystw Genealogicznych, z ludźmi wybitnymi: Zbigniewem Stanisławem Wójcikiem – profesorem nauk humanistycznych, historykiem, znawcą nowożytnej historii Polski XVII wieku, z Igozem Strojckim – genealogiem, publicystą, varsavianistą, autorami książek oraz regionalistami: Bolesławem Ciepielą, Witoldem Wieczorkiem, Tadeuszem Faleckim, Anną Urgacz-Szczęsną (członkini ZTG), z pracownikami USC, z księżmi: ks. Tomaszem Zmarzłym – historykiem sztuki, wikariuszem Sanktuarium NMP w Dąbrowie Górniczej, dyrektorem Archiwum Diecezji Sosnowieckiej w Będzinie, ks. dr. Adamem Maliną – duchownym luterańskim, proboszczem Parafii Ewangelicko-Augsburskiej w Katowicach-Szopienicach, ks. dr. Mikołajem Dziewiątowskim – proboszczem parafii prawosławnej w Sosnowcu.

Organizowaliśmy też warsztaty szkoleniowe dla osób rozpoczynających drogę poszukiwań, tworzących swoje pierwsze drzewo rodowe, i oczywiście każdego roku urządaliśmy zagłębiowskie pieczonki genealogiczne, gdzie przy tradycyjnym kociołku, w ciepłe ognia można było pogawędzić o praszczurach.

Aż któregoś dnia w historii ZKG nadszedł moment, gdy jego członkowie postanowili wybić się na „niepodległość” i założyć własne niezależne stowarzyszenie. Tak też się stało. Nawiązując do słów Prezesa Śląskiego Towarzystwa Genealogicznego Grzegorza Mendyki, wypowiedzianych na spotkaniu we Wrocławiu 10 IV 2014 r. oraz na spotkaniu zarządów ŚTG i ZKG w Gródkowie 15 X 2015 r., zaistniała możliwość dalszego rozwoju i usamodzielnienia się terenowego Zagłębiowskiego Koła Genealogicznego. Jednocześnie zarząd ZKG w imieniu członków podziękował zarządowi ŚTG za 8 lat współpracy i otrzymane wsparcie. Tym sposobem nastąpiło rozwiązanie ZKG przy ŚTG, a prezes Andrzej Lazar ochoczo zasiadł do pracy nad opracowaniem nowego regulaminu, który zamierzał przedstawić na kolejnym spotkaniu. Niestety nie zdążył, po długiej i ciężkiej chorobie zmarł 5 listopada 2015 r. Zgodnie z jego życzeniem został pochowany w grobie rodzinnym na cmentarzu w Psarach. W smutny, deszczowy dzień żegnała go cała rodzina oraz rzesze genealogów, regionalistów, społeczników, czyli po pro-



stu rzesze przyjaciół, przybyłych na ceremonię pogrzebową z całej Polski. Genealogia była wielką pasją Andrzeja, entuzjazmem zarażał nas wszystkich. Zawsze nienagannie ubrany, przygotowany do spotkania, z uśmiechem i humorem witał zaproszonych gości i członków ZKG. Był człowiekiem, charyzmatycznym, nietuzinkowym, energicznym, doskonałym kompanem do każdej rozmowy. Pracę Andrzeja Lazara doceniło w 2011 r. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, które uhonorowało go odznaczeniem *Zasłużonego dla Kultury Polskiej*. Jego dzieło, któremu dał początek, kontynuujemy.

*Uchwałą Nr 1/2016 Walnego Zebrania Członków Zagłębiowskiego Koła Genealogicznego przy Śląskim Towarzystwie Genealogicznym z dnia 7 stycznia 2016 r. w sprawie usamodzielnienia się koła. Członkowie koła samodzielnie mogą podejmować decyzję o własnym indywidualnym członkostwie w ŚTG lub przystąpieniu do stowarzyszenia o nazwie Zagłębiowskie Towarzystwo Genealogiczne.*

Decyzje zapadły, uchwały zostały podjęte i w ten oto sposób od 2016 r. członkowie byłego już Zagłębiowskiego Koła Genealogicznego funkcjonują pod szyldem Zagłębiowskiego Towarzystwa Genealogicznego. Przyjęty został status stowarzyszenia zwyczajnego z siedzibą w Sosnowcu przy placu Kościuszki 5. Nasze spotkania odbywają się w Dąbrowie Górniczej przy ul. Legionów Polskich 69, w gościnnych murach Muzeum Miejskiego Sztetgarka za co serdecznie dziękujemy dyr. Arkadiuszowi Rybakowi. Tu należy dodać, że Sztetgarka jest instytucją muzealną, udostępniającą zwiedzającym ekspozycje dotyczące historii Zagłębia Dąbrowskiego, archeologii, przyrody, etnografii lokalnej, a nawet kultur pozaeuropejskich.

Zagłębiowskie Towarzystwo Genealogiczne to przede wszystkim fantastyczni ludzie, pełni pasji, gotowi do współpracy oraz aktywności społecznej. Dlatego wyrażamy wdzięczność za ofiarną pracę kolejnym prezesom ZTG: ś.p. Andrzejowi Lazarowi, Pawłowi Całce, Elżbiecie Jans i Krzysztofowi Imiołkowi.

W czasie epidemii Covid-19 nastąpiła ponad roczna przerwa w spotkaniach członków ZTG. Jednak 2 września 2021 r. udało się wznowić spotkania. Powoli wracamy do pracy, bo jak czytamy w artykule Anny Malinowskiej: *Zagłębiowskie Towarzystwo Genealogiczne w Sosnowcu pomoże każdemu, kto szuka przodków. Ciekawość przychodzi z wiekiem. Szukanie własnych przodków wciąga jak sensacyjny film czy książka.*

Niech zawsze i wszędzie towarzyszą nam słowa Urszuli Szular, córki Stasia Cembrzyńskiego, naszego niedawno zmarłego kolegi: *Jak życie pokazuje dla zdrowego balansu w życiu, oprócz spraw związanych z rodziną i pracą, trzeba jeszcze tego czegoś, hobby... Rodzina może się rozpaść, pracę się zmienia albo odchodzi na emeryturę, a pasja towarzyszy człowiekowi i go ubogaca, rozwija, nie pozwala zamknąć się w czterech ścianach, działa terapeutycznie.*

Anna Poznar, Bożena Westphal



## Zarząd ZTG

1 września 2022 r. wybrano nowy zarząd Towarzystwa w składzie:

**prezes – Paweł Całka**  
**zastępca prezesa – Karol Szotek**  
**skarbnik – Marek Pypno**  
**sekretarz – Bożena Westphal**  
**członek zarządu – Anna Poznar**



*Członkowie i sympatycy ZTG na spotkaniu w dąbrowskiej Szttygarce 2 marca 2023 r.*

## Zagłębiowski Kunta Kinte, czyli kilka uwag o tożsamości i genealogii naszego regionu

■ 40 lat temu widzowie w Polsce z napięciem śledzili losy Kunta Kinte z amerykańskiego serialu „Korzenie”. Bohater, czarnoskóry młody mężczyzna, wywieziony z Afryki i sprzedany do Ameryki jako niewolnik, uczy się reguł nowego świata, w którym mu przyszło żyć, zakłada rodzinę, a córkę, którą wkrótce utraci, zdąży nauczyć kilku słów w swoim rodzimym języku. Te słowa jak nić poprowadzą jego odległych potomków do wioski Kunte na terenie obecnej Gambii.

Genealogia jest nauką pomocniczą historii, małym ogrodowym strumieniem wpadającym do wielkich wód, bliską historią, odbijającą w pomniejszeniu historie większe. Zbiorowe mity, mistyfikacje i iluzje są również jej udziałem w nie mniejszym stopniu niż historii wielkiej. Zagłębiowska genealogia nie jest tu wyjątkiem i też podlega takim procesom, ale jak każda historia lokalna ma własną specyfikę. Zagłębie Dąbrowskie jest miejscem szczególnym, pograniczem kultur, regionów, dawnym stykiem imperiów, miejscem migotliwej tożsamości, z mieszkańcami, których przeważająca większość wywodzi się z fal migracji ludności chłopskiej przyjeżdżającej tu za chlebem. Istnienie tej tożsamości jest kontestowane przez wielu – polityków, dla których samoidentyfikacja wspólnot lokalnych jest zawsze tylko elementem gry, dla ludzi spoza naszego regionu i wreszcie nawet niektórych mieszkańców regionu, których rzucił tu los. Czy możemy dziś mówić o zagłębiowskiej tożsamości, regionalnej historii, wreszcie o zagłębiowskiej genealogii? Jakie przeszkody napotykamy na drodze budując nasze opowieści?

### ■ **Mdła tożsamość, czyli kto nam stworzy opowieść?**

Samo Zagłębie Dąbrowskie, młody region o rozmytych granicach, ma od początku swego istnienia, czyli od końca XVIII w. problemy z tożsamością. Kulturowo i historycznie rubieże zachodniej Małopolski, do końca II RP przynależały administracyjnie do swojego matecznika. Dopiero w czasie II wojny światowej niemieccy okupanci, nawiązując do idei Neuschlesien, dostrzegli korzyści w połączeniu Zagłębia z przemysłowym Śląskiem. Po wojnie władze Polski Ludowej wdrożyły ostatecznie ideę połączenia. Próbowano rozpuścić odrębność Śląska w swojskim, kongresówkowo-polskim żywiolu Zagłębia, jednocześnie nadając całości sfabrykowaną, cepeliowską, śląską fasadę. Że takie majstrowanie i zabawa w inżynierię społeczną nigdy nie jest niewinna, świadczyły wybuchające na pograniczu terytoriów walki „plemienne” młodych mężczyzn ze szczepów Hanysów i Goroli. Niedawno przeniosły się one w dużej mierze do Internetu, a wraz z nimi resentymenty i napięcia, poczucie krzywdy i niesprawiedliwości, zabawy w orientalizację i samoorientalizację, w dzikich i cywilizowanych. I w odwetową silezjanizację.

Dziś tożsamość została zaanektowana i utowarowiona przez kapitalizm i jego kulturę konsumpcji. W erze masowej turystyki regiony historyczne mają być produktem, wyróżniać się swoją „marką” i sprzedać się poprzez swoją specyfikę.

Do dziś wiele osób ze Śląska z szyderczym lekceważeniem wspomina postawę Zagłębiaków w bitwie o nazwę Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii, którą to nazwę, choć długą, mieszkańcy Zagłębia uznali za adekwatnie oddającą ich miejsce w powstającej jednostce. Politycy śląscy forsowali nazwę Silesia, argumentując, że dzięki tej nazwie ten nowy twór administracyjny będzie rozpoznawalny w „świecie”.

Zagłębie czuje się niepewnie, niewyraźnie, blade przy wyraziście odmiennej i atrakcyjnej kulturze śląskiej, która umie teraz być modna i się sprzedać za zewnątrz. Region wydaje się samym jego mieszkańcom zwykły, ziemniaczano-buraczany, klasycznie swojsko-polski, przeźroczysty. Jako region przygraniczny, a raczej jego duch – jest rozmazanym, mglistym, łącznikiem między światami, między Polską a resztą świata, Wschodem a Zachodem, miastem a wsią, cywilizacją a dziczą, Europą a nie-Europą, tak jak biały dworzec w Sosnowcu był dla mieszkańców Śląska widomym znakiem, że oto wjeżdżają w dziki świat wschodnich stepów.

Iluż z nas, mieszkańców tej mglistej krainy, tak słabo rozpoznawalnej, zgadza się, dla świętego spokoju, aby nazywać naszą małą ojczyznę Śląskiem. Machamy z rezygnacją rękami na to, że każde nasze „ale ja jestem z Zagłębia...” jest kwitowane lekceważącym „przecież to to samo”, lub co gorzej „nie nawołujcie do podziałów etnicznych!”. Ileż razy godzimy się, aby wszystko w naszym województwie, będącym przedziwnym zlepkiem ziem małopolskich i śląskich określać jako „śląskie”. Zagłębie czuje się tak po prostu do niczego i kornie schyla głowę przed mało lotnymi żartami o Sosnowcu. Pochylając się nad biednymi Gorolami, zasromanymi własną bezbarwnością, Zbigniew Rokita kusi i zaprasza nas wspaniałomyślnie do inkluzywnego Śląska. I choć niby łatwo przypiąć się do tak atrakcyjnej tożsamości, to zawsze dla mieszkańców wschodniej części województwa pozostanie ona fałszywa.

Nasza pamięć (a wraz z nią tożsamość) zacierają się przez brak śladów materialnych, tych punktów, w których skupia się zbiorowa wyobraźnia, osi zbiorowej pamięci, które trwają dla nas od „zawsze” jako pomosty łączące pokolenia. Nie mamy wyrazistych rynków, bardzo starych kościołów, ratuszy, pomników. Miejscami ogniskującymi pamięć były nasze fabryki, huty, kopalnie, szyby górnicze i kominy, których ruiny straszą do dziś albo zostały zrównane z ziemią po to, żeby na ich miejscu stanęły magazyny chińskich towarów, czy jednakowe klocki deweloperskich domów. Nieliczne nasze biedne zabytki, jakieś domki, a nawet całe osiedla robotnicze, szkoły, czy stare gospody być może czeka ten sam los.

Zagłębie jest w stanie płynnym, pełne gorączkowej prędkości i pośpiechu, gdzie nic nie się zdąży czcigodnie zestarzeć, spychane natychmiast przez nowe. To region, który chce być bez właściwości. Zagłębie nie jest już robotnicze, nie jest „jakieś”, straciło swoje węzłowe miejsca i swój układ krwionośny. O czym nie da się mówić, o tym trzeba milczeć, a to milczenie przerwała Magdalena Okraska doskonale malując obraz miast Zagłębia jako pustej skorupy, która wraz z przeciętym

krwiobiegem utraciła swoje siły życiowe i, dodam – swoją pamięć. Właśnie ona zobaczyła to miejsce bez właściwości, ziejącą dziurę, w której jednak żyją ludzie.

Nasze Zagłębie to nowe, chaotyczne miasta, dziko wyrosłe przy kopalniach i hutach, dawne osady i wsie, dziś zepchnięte do rangi miejskich peryferii, eufemistycznie nazywanych na przykład „zielonymi” lub „historycznymi” dzielnicami. To też dwa średniowieczne miasta: Będzin i Czeladź, dziś mimo nieperyferyjnego położenia będące prawdziwymi peryferiami Zagłębia, które utraciły swoją miejską integralność przez przecięcie ich centralnych punktów „gierkowskimi” drogami. Będzin, osierocony przez większość swoich mieszkańców, wymordowanych podczas II wojny, stał się wraz z obracającymi się w nicość w atmosferze opuszczenia kamienicami – drogą przelotową między Dąbrową a Sosnowcem. Czeladź, o utraconej urodzie małego miasteczka, dziś wegetuje bez kopalni żywicieli, której budynki zamieniono po zamknięciu na luksusowe termy i bez dworca, którego nigdy nie było.

Jeśli więc naszą ziemię przeorano tak, że naszej pamięci nie mieści krajobraz, to czy mieszczą ją nasze opowieści? I jakie to opowieści?

### ■ Z kieleckiej wsi w świat

Po moim prapradziadku Andrzeju, pradiadku mojej mamy, urodzonym na kieleckiej wsi w roku 1869 pozostała mi Biblia w tłoczonej okładce, głowa z potłuczonej figury Matki Boskiej z domowego ołtarzyka i dwa zdjęcia zrobione w studiu fotograficznym Braci Altman w Dąbrowie Górniczej. Po dziadku Stanisławie, ojcu mojego ojca, urodzonym 37 lat później na innej kieleckiej wsi nie została żadna pamiątka. Nie wiem, jak wyglądał. Jedyne zdjęcie jakie mu zrobiono, to już w trumnie, zrobione z oddali, tak, że bardziej widać żałobników okutanych ciepło – w ten zimny, majowy dzień trzeciego roku wojny – niż jego samego. Po Andrzeju pozostał obraz przystojnego, zadbanego mężczyzny po pięćdziesiątce z pewnym siebie spojrzeniem i zawadiacko młodzieńczym błyskiem w oku. Z fajką w ręku, z zegarkiem-cebulą i dwoma medalami z wojny rosyjsko-japońskiej na piersi. Po Stanisławie niewyraźny, śmiertelny profil wystający znad trumny, z którego nie da się zgadnąć rysów twarzy.

Zarówno Andrzej, jak i Stanisław urodzili się jako synowie niezamożnych chłopów, ale podczas gdy Stanisław swoje krótkie życie przeżył jako rolnik, to Andrzej wyjechał do miasta szukać szczęścia lub po prostu chleba, uciekając z głodującej wsi. Miasto oblekło Andrzeja w surdut, utrwaliło jego twarz na papierze fotograficznym, tu mógł iść do zakładu Braci Altman i sfotografować się na tym samym krześle, co pan naczelnik.

Większość mieszkańców Zagłębia stanowią potomkowie Stanisławów i Andrzejów, przybyłych tu za chlebem z przeludnionych i głodnych wsi, głównie najbliższej Kielecczyny. Przybywali, kupowali surduty i zegarki-cebule, modnie się czesali, chodzili do fotografa i fryzjera, jadali miejskie przysmaki, oglądali „wielki” (a na pewno większy niż ich rodzinne miejscowości) świat, czytali gazety i nie bali się już proboszcza. Napływali w kilku falach – od XIX wieku aż do koń-

ca epoki PRL-u. Dla wczesnych pokoleń imigrantów była to nie tylko ucieczka przed biedą i głodem. Tu zyskiwali poczucie pewności siebie i wolności, stowarzyszali się z innymi, podobnymi sobie, żeby walczyć o swoje, przeciwstawić się panom, zakosztować buntu, słowem – wyemancypować się. Przybysze ze wsi porzucali częściowo swoje tradycje, wchodząc w społeczność górniczo-hutniczej osady, a ich kultura stapiała się z innymi, tworząc nową miejsko-wiejską zagłębiowską jakość.

Społeczeństwo Zagłębia jest w większości postchłopskie, robotnicze – nowomiejskie. Mieszczañstwo zagłębiowskie i miejscowi chłopci stanowili kroplę w morzu przyjezdnych, miejska ludność żydowska została wymordowana podczas II wojny światowej. Inteligencja była albo pochodzenia obcego albo polska, lecz najczęściej nie miejscowa – inżynierowie, nauczyciele, urzędnicy, lekarze przyjeżdżali tu do pracy i często wyjeżdżali, gdy kończył się im kontrakt, a Zagłębie pozostawało tylko dłuższym czy krótszym przystankiem na drodze ich życia.

Zagłębie jest ziemią imigrantów, ziemią (nie)obiecana. Nie była to ziemia wyśniona, a wiele chłopskich córek i synów pracując tu marzyło tylko o tym, aby zebrać trochę grosza, wrócić do siebie i kupić ziemię. Gdy tylko się nadarzała taka okazja, robili to lub decydowali się nawet na dalekie, wyjazdy, czy to do Ameryki, czy nawet na daleką Syberię, jeśli obiecano im ostatecznie duży kawał pola. Także imigranci ostatej fali wyjechali stąd po 1989, gdy zlikwidowano zagłębiowski przemysł. Wracali do rodzinnych wiosek już jako ludzie miejscy, emeryci z portfelem na tyle zasobnym, żeby kupić ziemię i żyć wygodnie.

Zagłębiowskiej genealogii nie sprzyja nasza polska mitologia. Założycielski mit Stanów Zjednoczonych gloryfikuje pionierskość, gdzie na pierwszy plan wysuwa się odwaga, ale w polskim imaginariu niespokojna ruchliwość nasza i naszych przodków w pogoni za życiem i chlebem nie budzi dumy, ale ukryty wstyd. Tak bardzo chcemy przynależeć; od zawsze! Nawet po wiekach wciąż będzie się wypominać obce pochodzenie. W roku 2023 nadal ostatecznym argumentem, zamykającym dyskusję na grupach zagłębiowskich miast, jest zarzucenie przeciwnikowi pochodzenia ze wsi / z Miechowa / z podkieleckiej wsi. Liczebność „rdzennych” mieszkańców Zagłębia jest skorelowana odwrotnie proporcjonalnie z popularnością narracji o wadze „rdzennego” pochodzenia i pasją tropienia przyjezdnych. Motyw wędrówki obecny jest w literaturze polskiej, ale jego podmiotem są prawie wyłącznie przedstawiciele warstwy szlacheckiej i postszlacheckiej, zmuszeni do opuszczenia swoich „odwiecznych rodowych gniazd” przez obcego, wroga, zaborcę, okupanta. Wysiedlenia, przesiedlenia, utrata majątku, zesłanie, wygnanie, emigracja, Sybir, gułagi to cena jaką płacili męczennicy Rzeczypospolitej za patriotyzm. Jednak w klasie ludowej temat wędrówki ekonomicznej, choć tak realnie ważny w naszej przeszłości i terażniejszości, jest w dużej mierze stabuizowany i lokuje się na marginesie historii dużej, a nawet i tej małej, rodzinnej. Tymczasem wiemy, że polscy chłopci „od zawsze” migrowali – na terenie Rzeczypospolitej i poza nią, trwale i sezonowo, dobrowolnie i pod przymusem, przenoszeni przez swoich właścicieli. Nowoczesność i narodziny wielkiego przemysłu

to potężne fale migracji polskich chłopów do Ameryki, Brazylii, Niemiec, Francji i innych miejsc. Temat tej wędrówki poruszała właściwie tylko literatura epoki pozytywizmu, a później próbował go wskrzesić PRL, ale bez większego rezultatu. Czy jednym z czynników nieobecności wędrówki chłopskiej w naszym polskim imaginarium jest jego całkowita identyfikacja z imaginarium szlacheckim? PRL chciał nam nadać chłopsko-robotniczą tożsamość, ale my, chłopcy i robotnicy, potomkowie chłopów i robotników woleliśmy, jak inżynier Karwowski, kupić portret przodka. Miejsce mitu wędrówki zajmuje nostalgia za tym co stabilne i „odwieczne”, za idylliczną iluzją białych dworców. W mitologii patriotycznego cierpienia nie ma miejsca na bieganie za chlebem, nawet gdyby to bieganie ratowało życie nasze i rodzin. A cóż jest bardziej heroicznego niż wędrówka w całkiem nieznanym świecie?

Synowie i córki chłopów ze swą młodzieńczą odwagą i młodzieńczą kruchością opuszczali swoje wsie, przepelnione izby i głód nie tylko na przednówku. Czekali ich raj ciepłych posiłków i własnego kąta, ale i do piekła pijackich spelunek, hazardu, bijatyk i bezrobocia. Młode dziewczyny, szukające miejsca na służbie, mogły trafić na ulicę lub skończyć w burdelach Ameryki Południowej. Zewsząd na młodzież wiejską czyhali łowcy ciał i dusz, gotowi okraść, oszukać, sprzedać.

Ograniczenia nowego życia nie pozwalały im na częste odwiedziny w rodzinnych wsiach. Wieś jednak pozostawała naturalnym miejscem ucieczki w trudnych chwilach; tam nowi mieszkańcy miast byli, ku wielkiemu niezadowoleniu wiejskich proboszczów, pionierami nowoczesności i łącznikami między dwoma światami. Przynosili modę na miejskie ubrania i socjalizm, nie czapkowali już ani księżom, ani panom. Ich łączność z wsią była bardzo konkretna – ściągali do miasta braci, kuzynów, sąsiadów, odtwarzając rodzinną wieś w nowym, młodym miejskim wydaniu.

### ■ Przodkowie bez twarzy

Zagłębie to przede wszystkim klasa ludowa, robotnicy, synowie chłopów. Czy jak większość Polaków mieszkańcy Zagłębia przyjęli fałszywą tożsamość? Fałszywa tożsamość to nie tylko podrabiany kontusz i przypasanie plastikowej szabelki do boku, ale to pozostawienie odłogiem całego żywnego pola kości naszych zmarłych. I choć mieliśmy wejść z nimi do Europy, to okazuje się, że w trumnach tkwią obce zwłoki. I kiedy tak szliśmy w pijących butach założonymi nie do swojego stroju, w naszym życiu społecznym pojawił się wyczekiwany zwrot ludowy, który pozwolił wywołać prawdziwe zjawy naszych przodków.

Przypadek Zagłębia nie jest odosobniony, ale poprzez swoją specyfikę skupia jak w soczewce problem polskiej pamięci i tożsamości, co znajduje odzwierciedlenie w badaniach genealogicznych. Polska nowa genealogia od swoich początków zajmowała się szlachtą, a później także ludźmi znaczącymi dla historii i kultury polskiej, a masowe zainteresowanie poszukiwaniem przodków, więc genealogią chłopską, jest bardzo świeżej daty. Jedną z przyczyn i to niezwykle

ważnych jest różnica w zasobności źródeł. Potomkowie rodzin szlacheckim mieli po prostu łatwe zadanie, nie musieli szukać, ponieważ zazwyczaj znali już swoje drzewa rodzinne, a dodatkowo zyskiwali wiele ułatwień, takich jak ogromna sieć powiązań rodzinnych w genealogii Minakowskiego.

Bogaty materiał badawczy dokumentujący życie elit obfitujące w interesujące wydarzenia, godne opowiadania to przywilej „dobrze urodzonych”. Są albumy zdjęć pań w kapeluszach i panów z elegancko przystrzyżonymi wąsami, są świadectwa szkolne, indeksy wyższych uczelni, stopy listów, w których można przeczytać o tym, co czuli i co myśleli przodkowie, są paszporty, dyplomy, ordery, legitymacje, spisane wspomnienia z życia w ziemiańskim dworze, czy pocztówki z podróży do Włoch. Są ciekawe wydarzenia – romanse, ucieczki do powstania, mezaliansy, polska martyrologia – powstanie styczniowe, warszawskie, Katyń, ewentualnie bardziej demokratycznie – obozy koncentracyjne i partyzantka, utraczone dworki, eleganckie sklepy i restauracje. Kiedy jedni oglądali fotografie w albumach z okładkami z wytłaczanej skóry, my, potomkowie biedaków, mieliśmy trochę zdjęć poupychanych w szufladzie kuchennego kredensu pomiędzy śrubokrętami a żabkami do bielizny. Zdjęć cieni naszych przodków - ich spłoszone spojrzenia, buty o zdartych noskach, powyciągane kapoty, twarde twarze. I jeszcze pamiątka komunii świętej w ramce, plastikowa broszka z odpustu, kartka z prostymi pozdrowieniami, a czasem po niepiśmiennych nie zostaje nic. To, co praktyczne – służyło przez lata, to, co niepraktyczne – było zbyt liche, żeby się ostać. Domy drewniane i gliniane są wszystkie takie same i szybko ginie po nich ślad. Życie nie pozostawiało osadów. Wydarzenia? Jeśli nie przetrwały w przekazie ustnym, to odeszły na zawsze. Odwieczna praca, zasiew i zbiory, nieustana krzątania wokół zwierząt i przetrwania.

Wszystko to wydaje się tak nieznaczące przy jakże filmowych biografjach ludzi z elit. Wstydzimy się naszych biednych pamiątek, biednego życia naszych przodków. To rodzinny kapitał kulturowy sprawia, że możemy przekazać pamięć rodzinną. I choć rodziny chłopskie i robotnicze bardzo dobrze znały genealogię „wszerz”, doskonale orientując się wśród dziesiątków kuzynów wielu stopni pokrewieństwa, z którymi łączyło ich często wspólne życie, to trudniej było o znajomość genealogii „w głąb” ze względu na brak źródeł pisanych. Przekaz ustny był ulotny i ułomny, bo niewiele osób miało szczęście znać swoich dziadków.

Źródła pisane tworzone były przez kogoś piśmiennego, rzadko przez samych zainteresowanych. Ich autorami byli księża, urzędnicy, uprzejmi piśmienni koledzy piszący w imieniu naszego dziadka list z frontu, który też ktoś musiał go jego rodzinie odczytać. Ale te skromne źródła chłopskie, źródła z drugiej, piśmiennej ręki, potrafią przemawiać dosadnie i mocno – daty powiedzą nam, jak powiedziały mnie, o matce, której zmarło czternaścioro z piętnaściora dzieci, o kobiecie która straciła młodego męża cztery dni przed rozwiązaniem, o biednych sierotach-służących, które w wieku 16 lat szły za mąż za wdowców starszych o dwadzieścia lat i obarczonych maleńkimi dziećmi.



## ■ Mit cichych bohaterów

Epoka PRL-u nie była dobrym czasem na pielęgnowanie historii rodzinnych i tożsamości. Ukrywano pochodzenie, nazwiska, wyznanie, dawne życie – najpierw ze strachu, później z wygody. Ale też ze wstydu. Młodych ludzi dusił wstyd biedy, wstyd pochodzenia ze wsi, wstyd bycia przybyszem. Kiedy zdeterminowani, ambitni młodzi ludzie ze wsi, stawali się elitą, inżynierami, dyrektorami, kupowali portrety szlacheckich przodków i drobnomieszczanieli (choć akurat w takich postchłopskich społecznościach jak Zagłębie taka mistyfikacja nie była konieczna). Kultura narodowa wtórowała ich aspiracjom, kreując idylliczny, pozaczasowy biały dworek na nasze rodzinne lokum. Kultura chłopska i chłopska tożsamość runęły pod naporem nowoczesności, a chłopska historia została wygumkowana. PRL wykoślawił i zawłaszczył robotniczą kulturę i historię Zagłębia, a nowa epoka triumfującego kapitalizmu i liberalizmu wymazała ją całkowicie, amputując z naszej pamięci robotniczych bohaterów, trybunów i buntowników, takich jak ksiądz Andrzej Huszno i wstawiła do regionalnego panteonu pamięci tych, dla których nasi dziadowie byli niewolnikami, trybikami w ich fabrykach.

Gdy po 1989 r. sprzedano za grosze majątek narodowy na oczach zdumionych ze zgrozy mieszkańców Polski, gdy do ogryzka objedzono Zagłębie – jego kopalnie, huty, fabryki, z ruin wypęły upiory Schoenów, Dietlów, Huldczyńskich. Fabrykanci stali się nowymi bohaterami wyobraźni tych, których dziadkowie usługiwali, prali brudną bieliznę, powozili. Zachłanni i bezwzględni władcy przemysłu, którzy przybywali tu przed laty z Niemiec czy Francji, skuszeni tanią siłą roboczą i naszym węglem to dziś patroni ulic, nasi symboliczni ojcowie i emblematyczne postacie Zagłębia, które ukradły nam naszą pamięć. Czczeni są dziś jako „twórcy przemysłu”, podczas gdy twórcami naszego regionu byliśmy my, były nasze rodziny, nasi dziadowie, których pomniki zburzyliśmy. Pomniki trudu i walki robotników zniknęły z naszych ulic, fabrykant zastąpił robotnika jako patron ulicy. Daliśmy sobie odebrać pamięć o ich zmaganiach, pamięć, która uległa, jak wcześniej pamięć chłopska, wytłumieniu.

Dziś pobieżne spojrzenie na to, co się dzieje z tkanką osobistej pamięci rodzinnej pokazuje, że jest ona wciąż poddawana wewnętrznemu dyktatowi spójności z obowiązującą narodową narracją. Potomkowie chłopów przedstawiają swoich przodków jako powstańców styczniowych, warszawskich albo choć wielkopolskich, zesłańców czy innych męczenników za sprawę narodową, bo tylko tak można usprawiedliwić istnienie swoich ojców. Na grupach historii regionalnych zrzeszających potomków chłopów głównymi tematami dyskusji są powstania, życie okolicznych ziemian i utyskiwania na „zagrabienie” ich majątków. Tymczasem do naszej pamięci nie może się przebić ani uwłaszczenie, ani strajki chłopskie czy robotnicze, które to tematy, dobrze znane w epoce PRL-u, zostały pogrzebane po 1989 roku. Historia osobista, rodzinna, regionalna, klasowa nie istnieje samodzielnie, ma być tylko kalką i kopią obowiązującego dyskursu historii narodowej. Czy kryje się za tym wstyd dzisiejszych postchłopów – menadżerów, ekspertów,

liderów? Co paradoksalne bycie proeuropejskim tradycjosceptykiem i liberałem często wiąże się z kultywowaniem mitu dziadka szlagona z białego dworku.

Dlaczego więc nie czcimy cichych bohaterów codziennego dnia, walczących o godne życie? Bohaterów troski o rodzinę, tę, którą się samemu założyło i tę, która pozostała na wsi, bohaterów więzi, i solidarności, wzajemnej pomocy i opieki – między miastem a rodzinną wsią, między członkami dużej rodziny, między sąsiadami, pracownikami. W naszej rodzinno-lokalnej historii mieści się gorączkowy niepokój pogranicza imperiów, Wielki Kryzys, strajki robotnicze, rok 1905, okresy bezrobocia, biedy i zbrodni, gierkowska prosperity, balcerowiczowskie trzęsienie ziemi, które zamieniło ludne przemysłowe miasta w slumsy straszące halami zamkniętych fabryk i snującymi się po opustoszałych ulicach mężczyznami, topiącymi żal w bardzo tanich alkoholach, ponowna kolonizacja Zagłębia przez obcy kapitał. Tu mieści się też historia Zagłębia będącego na przełomie wieków środkowowschodnią wersją Dzikiego Zachodu, eldorado lub piekłem dla tysięcy nowo przybyłych, ucieczkowym szlakiem i schronieniem dla rewolucjonistów, przestępców i wszelkich buntowników tego świata. Historia Zagłębia jako wielokulturowego tygla – Zagłębia Polaków, Rosjan, Tatarów, Żydów, Niemców... Nasza historia to sztygarzy wrzucani do szybów przez rozeźlonych robotników i niedzielne rodzinne biesiady w ogrodzie przy harmonii i szklance domowego wina, to machina, nieustannie windująca w górę i w dół nasze egzystencje na ziemi przeoranej bliznami chodników górniczych, które zapadną się wraz z miastami, jeśli przestaną działać pompy wciąż zasysające wodę z podziemnych korytarzy.

### ■ Agrarny Gorol, cywilizowany Hanys<sup>1</sup>

Zagłębiowskie dylematy kultury ludowej i samoidentyfikacji mają charakter ogólnopolski, jednak pewne zjawiska są charakterystyczne dla tego regionu. Dużą rolę odgrywała stosunkowo wczesna, jak na Polskę migracja z terenów wiejskich, silnie tkwiących w przed nowoczesnej kulturze agrarnej i bliskie sąsiedztwo Śląska, regionu o kulturze nastawionej na zmianę cywilizacyjną, co sprawiło, że wcześniej zarysował się wyraźny kontrast po obu stronach granicy mocarstw i regionów wyznaczonej biegiem rzeki Brynicy – agrarni, półchłopski Zagłębiacy i „cywilizowani” Ślązacy.

Ten podział i obcość kulturowa sprawiały, że mieszkańcy przeciwnych brzegów rzeki postrzegali się nawzajem w lustrzanym odbiciu na tym odbiciu konstruowali częściowo swoją tożsamość. I Ślązacy i Zagłębiacy mieli swoje źródła opresji. Dla Ślązaka był to pan, który był Niemcem, więc mógł budować swoją silną, ludową tożsamość przeciw niemu, podkreślając różnice kulturowe. W ten sposób różnice klasowe pokrywały się z etnicznymi i kulturowymi, dzięki czemu Ślązak nie miał specjalnych kompleksów „ludowych”, jakie były udziałem innych Polaków. Zagłębiak konfrontował się z jednej strony z niezwykle silną i wyrazistą,

---

1 Zawarte w podrozdziale idee zawdzięczam prof. Annie Gomóle z Uniwersytety Śląskiego, mojej przyjaciółce, Ślązaczce, z którą od 15 lat prowadzimy dialogi śląsko-zagłębiowskie.

a dla niego obcą kulturą ludową Śląska, która mogła go kulturowo zdominować, z drugiej z opresją, gdzie panem był ziemianin na wsi, a po przyjeździe do miasta przedstawiciel nadzoru przemysłowego. Źródłem opresji był polski, nie obcy pan, co w czasach rodzącej się w warstwach ludowych identyfikacji narodowej nie było bez znaczenia, toteż rezultatem była częściowa identyfikacja z kulturą „pańską” i porzucenie widocznych oznak przynależności kultury chłopskiej.

### ■ Jaka pamięć Zagłębia, czyli wołanie o opowieść

Odpowiedzi na pytanie, czemu tworzymy fałszywe tożsamości i historie udzielili już i Andrzej Leder w swojej „Prześnionej rewolucji” i Kacper Pobłocki w „Chamstwie”. My możemy zadać inne pytania. Co jest pamięcią Zagłębia? Co pamięcią naszych rodzin? Naszych tożsamości? Czy możemy stworzyć niezakłamaną historię rodzinną i lokalną, autentyczną narrację zagłębiowską? Historia naszego regionu, naszych rodzin, nie może być miniaturą dużej narracji, ale na pewno na swój sposób stanowi część większej całości. Tylko przez autentyczność nasz mały strumień wpłynie do większej rzeki.

Na poziomie symbolicznym potrzebujemy mitu bohaterstwa codzienności, który został zawłaszczony przez mity ideologiczne, narzucane nam przez polityczne narracje. Potrzebujemy przywrócenia dwóch zatartych i wypartych pamięci – chłopskiej i robotniczej, zagłębiowskiej. Naszym zadaniem jest wydobyć życie ludzi zapomnianych na światło dzienne i oddać im głos, przywrócić godność, a genealogię ludową wyprowadzić z przedsionka, gdzie nieśmiało przestępuje z nogi na nogę.

Czy w naszej martyrologiczno-masochistycznej wyobraźni, przesyconej kultem śmierci i męczeństwa jest miejsce na afirmację życia? Nasi dzielni przodkowie walczyli z trudnościami losu, abyśmy my mogli żyć. Są jednak dla części historyków nieznaczącą mierzwą dziejów. Kto opowie historię ich codziennych zmagañ, najpierw na wsi, później jako miejskich pionierów przemysłu? Czy potomkowie Kunta Kinte odnajdą drogę do jego rodzinnej wioski i opowiedzą historię dziadka? Poddawani przemocy, nieznaczący za życia, najczęściej nie mający głosu. Oddajmy im cześć jako bohaterom swojego czasu. Pozwólmy im mówić teraz, ożywmy ich losy, bez osądu i bez lukru. Kto jest niemy, pozostaje nieobecny.

Beata Abdallah-Krzepkowska

## **Trzy pokolenia sosnowieckich księgarzy**

■ Trudno dziś uwierzyć, że Sosnowiec na przełomie wieków XIX i XX był wsią... liczącą ponad 50 tys. mieszkańców, z mocno rozwiniętym przemysłem ciężkim i lekkim, bankami i instytucjami usługowymi, z dwoma dworcami kolejowymi (drugim po Warszawie pod względem wielkości dworcem na odnodze Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej). Mówiło się, że to car Rosji Aleksander III, a później przez osiem lat jego następca Mikołaj II byli przeciwnymi podniesienia wsi Sosnowice (bo tak do 1920 r. nazywał się Sosnowiec) do rangi miasta.

Najprawdopodobniej jednak to nie w Sankt Petersburgu byli przeciwnicy awansu najbardziej uprzemysłowionej wsi w zaborze rosyjskim, ale w Piotrkowie Trybunalskim, gdzie mieściła się Gubernia Królestwa Polskiego i jej urzędnicy, z gubernatorami Nikołajem Zinowjewem (rosyjskim nacjonalistą) służącemu warszawskiemu generał-gubernatorowi Josifowi Hurki – zaciekłemu rusofilowi, a później płk. Konstantinem Millerem, który po walkach z powstańcami styczniowymi pałał nienawiścią do Polaków. Z jego inicjatywy wiele miast ukazem carskim zdegradowano do rangi wsi.

W wyniku wieloletnich starań sosnowieckich elit (przemysłowców, kupców, bankowców) oraz scaleniu osad Pogoń, Sielce, Ostragórka, Stary i Nowy Sosnowiec w jedną wieś, Sosnowice stały się pierwszą wsią w Królestwie Polskim podniesioną do rangi miasta po powstaniu styczniowym.



*Niektóre z setek widokówek wydanych nakładem księgarni „Wiedza” w Sosnowcu*

W dekrete podpisany 10 czerwca 1902 r. przez cara Mikołaja II napisano: „*Miejscowość Sosnowice powiatu będzińskiego, guberni piotrkowskiej z przylegającymi do niej miejscowościami utworzonymi na ziemiach dworskich posiadłości: Gzichowa, Sielec i wsiami włościańskimi: Stary Sosnowiec, Pogoń, Ostra Górka, Sielce, zabudowaniami Radocha, osadą Blumentala wraz z należącymi ziemiami Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, postanawia się przekształcić w nieuzyskujące praw powiatu miasto o nazwie Sosnowice*”.

Sosnowice liczyły wówczas 61 tys. mieszkańców. Na obszarze 19 km<sup>2</sup> działały dwie kopalnie, sześć zakładów metalurgicznych, pięć zakładów włókienniczych, drukarnia, dwa dworce kolejowe, siedem hoteli, około 300 sklepów spożywczych, około 150 warsztatów krawieckich i szewskich, dwa teatry, pięć księgarń.

Ponieważ artykuł dotyczy księgarskiego rodu, zatem zajmijmy sytuacją tej branży. Otóż, pod koniec XIX w. książki w Królestwie Polskim nie były towarem pierwszej potrzeby. Były drogie, a około 70 proc. Polaków było analfabetami.

Historia zagłębiowskiego księgarstwa sięga jesieni 1891 r. Wtedy to na dworcach Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej i Iwanogrodzko-Dąbrowskiej w Ząbkowicach (dziś Ząbkowice Będzińskie), Dąbrowie (obecnie Dąbrowie Górniczej), Granicy (teraz Sosnowiec-Maczki), Będzinie i w Sosnowcu, Warszawskie Biuro Ogłoszeń i Dzienników, którego właścicielami byli Aleksander Rajchman i Grafcjan Unger – warszawscy wydawcy i księgarze, utworzyło kioski „Ungra” z czasopismami i tanimi książkami swoich wydawnictw. Miały one służyć podróżnym, a ponieważ w miejscowościach tych nie było normalnych księgarń, zatem w owych kioskach zaopatrywali się w książki nie tylko pasażerowie dróg żelaznych.

Pierwsza księgarnia w Zagłębiu Dąbrowskim powstała w Będzinie w 1892 r. Jej właścicielem był Adolf Zmigrod. Następne powstały w Sosnowcu. Pierwszą księgarnię w Sosnowicach założył Wincenty Korwin-Kossakowski w 1896 r. Po czterech latach Skład Książek i Materiałów Piśmiennych przy ul. Kolejowej (obecnie 3 Maja) nabył od niego Jan Rowiński. Drugą księgarnię przy tej samej ulicy, w budynku Hotelu Warszawskiego, uruchomił w 1902 r. Władysław Krocak-Hahn. Księgarnia nazywała się „Wiedza”.



W tym samym roku Kazimierz Kostrzeński utworzył pierwszą księgarnię w Dąbrowie. Wspomniani księgarze wraz z Karolm Dippem, który w 1896 r. prowadził kiosk „Ungra” z czasopismami i książkami na dworcu w Granicy, byli pionierami zagłębiowskiego księgarstwa.



*Księgarnia „Wiedza” mieszcząca się najpierw przy ul. Kolejowej (dziś 3 Maja) była początkowo małym składem książek, nut i materiałów piśmiennych*

teatrach. W 1880 r. zadebiutował jako aktor w roli królewicza Kazimierza w spektaklu "Długosz i Kallimach". W kilka tygodni po premierze porzucił studia i postanowił zostać aktorem. Ojciec, gdy się o tym dowiedział, wpadł w szal. Nie mógł się pogodzić, że jego syn będzie występował nie jako prawnik na sali sądowej, lecz jako „komediant” na scenie. Po awanturze wyrzucił Zygmunta z domu i zabronił używania rodzowego nazwiska. Wtedy też Zygmunt Hahn przybrał nowe imię Władysław i nazwisko Korczak. (Po śmierci rodziców powrócił do nazwiska Hahn, dodając je do przybranego Korczak).

Po awanturze w domu pomieszkiwał w teatrze i u kolegów aktorów. Przez 19 lat występował jako aktor na scenach 17 teatrów m.in. w Krakowie, Łodzi, Poznaniu, Warszawie, Lwowie, Lublinie, Radomiu i Kielcach.

Księgarnia „Wiedza” była nie tylko największą, ale też najdłużej funkcjonującą księgarnią rodzinną w Zagłębiu. Pracowały w niej trzy pokolenia rodziny Władysława Korczaka-Hahna, a ich życiorysy są niezwykle ciekawe.

Władysław Krocak-Hahn (właśc. Zygmunt Hahn) urodził się w 1860 r. i nim został księgarzem, przez ponad dwadzieścia lat był aktorem. Pochodził z mieszczańskiej rodziny krakowskiej. Był synem Jana Kante-go Hahna, kupca posiadającego sklep na ul. Sławkowskiej i kramy w Sukiennicach w Krakowie, handlującego artykułami żelaznymi w Galicji i Królestwie, króla kurkowego z 1842 r., uczestnika powstania krakowskiego, dostawcy broni dla powstańców styczniowych w 1863 r.

Wolą ojca było, żeby syn został prawnikiem i takie też studia podjął w 1878 r. na Uniwersytecie Jagiellońskim. W tajemnicy przed rodzicami Zygmunt jako 16-letni chłopak czasami statystował w krakowskich



*Zygmunt Hahn jako student*

W Radomiu w 1884 r. ożenił się z Marią Sulikowską – aktorką pochodzącą z rodziny krakowskich aktorów Konstantego i Marii Sulikowskich. Także siostra Marii Korczak-Hahnowej, Władysława Rusecka i jej mąż Marcei, byli aktorami. Z przyszłą żoną Władysław Korczak poznał się jeszcze jako student statystujący w krakowskich teatrach, w których Maria występowała już jako aktorka. Zbliżyli się do siebie w sezonie teatralnym 1882/83 grając w zespole Aleksandra Myszkowskiego i Jana Nowakowskiego w Lublinie, Radomiu, Kielcach i Łodzi. Po ślubie Korczakowie występowali już razem z wieloma zespołami teatralnymi.



*Maria Korczak-Hahnowa (1857–1931)*



*Władysław Korczak-Hahn (1860–1915)*

Dla Marii był to wielki wysiłek, gdyż od grudnia 1884 r. musiała godzić obowiązki aktorki i matki pięciorga dzieci. Ogromnym ciosem dla Władysława i Marii była śmierć czterech ich małych dzieci, zmarłych na szkarlatynę. Zostali tylko z córką Marią. W 1900 r. Korczak-Hahnowie postanowili zerwać z cygańskim trybem życia i osiaść gdzieś na stałe. W Sosnowicach, pod koniec XIX w. powstał teatr z dwiema stałymi scenami (Teatr Zimowy i Teatr Letni). Jego dyrektorem był Felicjan Feliński, z którym Korczak-Hahnowie poznali się zawodowo w 1884 r., występując w warszawskim teatrze „Eldorado”. W latach dziewięćdziesiątych, gdy razem grali w zespole B. Mareckiego w Lublinie, zaprzyjaźnili się.

Kiedy w jednym z listów Władysław wspomniał Felińskiemu o zamiarze ustabilizowania się, ten zaprosił go do Sosnowic, które w wielkim tempie przemieniały się w duży ośrodek. Był teatr, a więc była i praca dla doświadczonych aktorów. Ponadto w blisko 50-tysięcznym ośrodku przemysłowym zamieszkałym

przez robotników, którzy napływali do Sosnowic z różnych stron Królestwa, w większości analfabetów, było duże zapotrzebowanie na ludzi wykształconych.

Na początku 1901 r. Władysław Korczak-Hahn wraz z rodziną i kuframi wysiadł z pociągu z Radomia na Dworcu Iwanogrodzkim w Sosnowicach. Tu czekał na nich Felicjan Feliński, który dorozką i dodatkowym powozem na bagaże przewiózł Korczak-Hahnów do Hotelu Warszawskiego. Władysław nie przypuszczał wtedy, że za półtora roku, pod swoim oknem hotelowym stworzy własną księgarnię, która w nieodległej przyszłości da pracę jego córce, a później wnukowi.

Po przyjeździe do Sosnowic, Korczak przez kilka dni poznawał tę niby wieś, a w rzeczywistości miasto średniej wielkości. Nie wiadomo, jak potoczyły się dalsze rozmowy z Felińskim, w każdym razie Władysław podjął pracę nie na teatralnej scenie, ale jako urzędnik z bardzo dobrą pensją. Po kilku miesiącach zdecydował się stworzyć własną firmę. Przypomniawszy sobie dzieciństwo i sklepy należące do dziadka i ojca w Krakowie, w których w dzieciństwie spędzał wiele czasu. Postanowił zostać kupcem. Jako aktorowi bliskie mu były książki, a w wielkich Sosnowicach była tylko jedna księgarnia. Oszczędności, jakimi dysponował, nie pozwalały na kupienie jakiegoś budynku czy nawet lokalu, ale na wynajem jakiegoś sklepu już tak. Akurat w domu Turskiego, na parterze Hotelu Warszawskiego, zwolnił się sklepik. Korczak-Hahn udał się więc do właściciela hotelu, z którym zdążył się dobrze poznać i wydzierżawił pomieszczenie. Kilka miesięcy trwało urządzenie księgarni, którą trzeba było wyposażać w odpowiednie meble, a kiedy ściany obłożone już były szafami z regałami, trzeba je było wypełnić kilkoma tysiącami książek, po które musiał jeździć do wydawnictw w Krakowie, Tarnowie, Lublinie, Kielcach, Łodzi, a przede wszystkim w Warszawie. Tych wyjazdów było wiele, bo też nie było specjalistycznych hurtowni, a wydawnictwa miały dość wąski asortyment własnych tytułów książkowych.

Początkowo interes kręcił się marnie, gdy o klientów w ówczesnych Sosnowicach rywalizowały dwie księgarnie. Pamiętać trzeba, że większość mieszkańców nie umiała czytać, albo nie była zainteresowana książkami. Był taki moment, że Władysław Korczak-Hahn myślał o zamknięciu interesu. Po kilku miesiącach klientów zaczęło wreszcie przybywać. Do tego stopnia, że, aby księgarnia mogła sprawnie funkcjonować, żona Władysława musiała włączyć się do pomocy. Coraz większe zyski pozwoliły na poszerzenie oferty i sprowadzanie ciekawych, acz drogiej książek dla koneserów, o które trudno było w okolicy.

Władysława, który od kilku lat nie występował już na scenie, nadal łączyły silne związki z teatrem. Czuł nie tylko wielki sentyment do tej instytucji, ale miał w niej wielu przyjaciół. Dla teatru robił tłumaczenia i adaptacje niektórych utworów literackich, pisał też sprawozdania i recenzje teatralne do „Kurierza Sosnowieckiego”, a później „Kurierza Zagłębia”. Udzielał się też w organizacji amatorskiego ruchu teatralnego.





*21-letnia Maria Korczak-Hahnówna była najmłodszą właścicielką księgarni w Królestwie Polskim*

Po pierwszych pięciu latach funkcjonowania księgarni „Wiedza” do pracujących w niej rodziców dołączyła w 1903 r. ich 18-letnia córka Marysia Korczak-Hahnówna. Panna biegle znała języki: francuski, rosyjski i niemiecki. Pod okiem ojca zdobywała praktykę zawodową i wiedzę potrzebną do prowadzenia księgarni. Gdy ją w pełni opanowała, z pracy w księgarni zrezygnowała matka, która zajęła się domem. Młoda Maria swoją urodą, wiedzą oraz kulturą bycia przyciągała do księgarni klientów. Często zastępowała coraz bardziej schorowanego ojca.

Po jego śmierci w 1915 r. objęła kierownictwo księgarni. Udzielała się też aktywnie w Stowarzyszeniu Kupców Polskich w Sosnowcu i w Związku Księgarzy Polskich w Warszawie.

Dynamiczny rozwój miasta, które w 1915 r. liczyło już około 120 tysięcy mieszkańców, przekładał się też na coraz większe obroty księgarni „Wiedza”. Wypracowany zysk Maria inwestowała w nowy towar, ale nie były jej obce potrzeby innych. Wspierała organizacje charytatywne, a w czasie I wojny światowej wspomagała Legiony Polskie.

Na przełomie 1920 i 1921 r. w życiu Marii Korczak-Hahnówny pojawił się podporucznik Edmund Gruszczyński. Ten 37-letni oficer 21 Pułku Piechoty w listopadzie 1920 r. został odkomenderowany z Warszawy do Sosnowca w celu zorganizowania tam Biura Węglowego Ministerstwa Spraw Wojskowych, którego zadaniem było usprawnienie wysyłki węgla z kopalń dla wojska w Warszawie i innych miastach. Przed wyjazdem na święta Bożego Narodzenia do rodzinnego domu pod Radomskiem postanowił w prezencie pod choinkę kupić ojcu i rodzeństwu książki. W tym celu udał się do księgarni, która znajdowała się na parterze hotelu, w którym był zakwaterowany. Przeglądanie książek, które miał zakupić, przeciągnęło się z kilku minut do blisko godziny. Edmund był oczarowany wdziękiem Marii i jej inteligencją. Właścicielka księgarni też była pod wrażeniem. Koniec końców, Edmund, zrobiwszy zakupy, zapomniał zabrać paczkę z książkami, a Maria nie zwróciła na to uwagi. Dopiero po kilkunastu minutach, gdy obsługiwała kolejnego klienta, zauważyła na ladzie pozostawioną paczkę. Była zrozpaczona tym, co się stało. Nie wiedziała wtedy, że zapominalski klient mieszka w hotelu, dwa piętra nad księgarnią.



*Podporucznik Edmund Gruszczyński*

Następnego dnia, późnym popołudniem w księgarni pojawił się porucznik Gruszczyński w galowym mundurze i z lekkim uśmiechem zapytał Marię, czy aby dzień wcześniej czegoś w księgarni nie zgubił. Maria wyjęła spod lady zapakowaną paczkę i podając ją trzęsącymi rękami przystojnemu porucznikowi, przeproszała. Wojskowy śmiał się i zapewniał, że nie pogniewa się, jeśli panna Mania da się zaprosić, po pracy, na ciastko do pobliskiej cukierni. Maria odmówiła, choć było jej ciężko. Przez kilka dni sytuacja powtarzała się. Tuż przed wigilią, przeczuwając, że tym razem nie będzie umiała odmówić, poprosiła mamę wtajemniczoną w to, co się dzieje, aby przysłała przed zamknięciem do księgarni. Gdy pojawił się Edmund, w pasach zapytała matki, czy może w jej towarzystwie pójść z porucznikiem do cukierni. Była zgoda.

W Cukierni Warszawskiej z ciekawym oficerem rozmawiała głównie mama Marii. Pytała go o rodzinę, miejsca, w których przebywał, karierę wojskową.

Okazało się, że Edmund Gruszczyński nie marzył o mundurze wojskowym, który nosił od 14 lat. Pochodził z biednej podradomszczańskiej rodziny. Jego ojciec był organistą kościelnym w Dmeninie. Był najstarszym z pięciorga dzieci. Chciał wstąpić do seminarium nauczycielskiego, ale sytuacja finansowa w domu nie pozwalała na to. W wieku 14 lat rozpoczął praktykę w zakładzie rymarskim w Radomsku, po odbyciu której, nie mając jeszcze 18 lat, wyjechał do Warszawy, gdzie podjął naukę w szkole rzemieślniczo-przemysłowej. Ucząc się, równocześnie pracował jako dekorator w zakładzie tapicersko-dekoracyjnym, a następnie w dużych zakładach meblowych W. Wędrychowskiego. W 1905 r. uczestniczył w rewolucji w Warszawie. Zaangażowany w ruch rewolucyjno-niepodległościowy nie stawiał się na pobór do wojska. Poszukiwany przez rosyjską żandarmerię zgłosił się dopiero w styczniu 1906 r. Otrzymał nakaz obowiązkowej służby w Ukrainie. Po roku ukończył szkołę podoficerską, a w 1909 r. został zwolniony do rezerwy. Pewny żołd, który przesyłał do domu, był powodem, dla którego pozostał w wojsku i dalszą służbę odbywał w 145. Nowoczerkaskim Pułku Piechoty w Petersburgu. W 1911 r. ukończył szkołę podchorążych w Peterhofie i wrócił do pułku jako oficer. Po wybuchu I wojny

światowej przeniesiony został na stanowisko dowódcy kompanii do organizowanego 293. Izorskiego Pułku Piechoty, z którym wyjechał na front na teren ówczesnej Galicji. W lutym 1917 r. przeniesiony został do przybyłego na front 17. Zaamurskiego Pogranicznego Pułku. Przez ponad trzy lata wojny przebywał na froncie, wykonując różne obowiązki oficerskie. Brał udział w 14 bitwach. Odznaczony został Krzyżem św. Jerzego III i IV klasy, Medalem św. Jerzego IV klasy i innymi medalami. Ponadto otrzymał 3 medale jubileuszowe oraz liczne odznaki strzeleckie. Po wybuchu rewolucji bolszewickiej podjął starania o przejście do tworzącego się Wojska Polskiego. W czerwcu 1917 r. brał udział w Zjeździe Wojskowych Polaków w Piotrogradzie. Trzy miesiące później wstąpił do 8 Pułku Strzelców I Korpusu Wojska Polskiego, który stacjonował w Zubcowie nad górną Wołgą (190 km na zachód od Moskwy). W czasie nakazanej koncentracji Korpusu i przemieszczania się na Białoruś, w styczniu 1918 r. dostał się pod Orszą do bolszewickiej niewoli, z której wydostał się po miesiącu. Wyjechał na Ukrainę i wstąpił tam do Lekkiej Brygady III Korpusu Polskiego, który w czerwcu został rozbrojony przez Austriaków. Po zwolnieniu z wojska pozostał na Ukrainie i podjął pracę w podlegającej władzom ukraińskim Komisji Demobilizacyjnej zajmującej się sprzętem wojskowym pozostałym po armii rosyjskiej. Do początku 1920 r. był zarządzającym magazynami sprzętu wojskowego w Międzybożu na Podolu. W tym czasie nawiązał kontakt z Wojskiem Polskim, znajdującym się po drugiej stronie frontu. Po przesunięciu się frontu na wschód został przez Zarząd Cywilny Ziem Wołynia i Frontu Podolskiego mianowany burmistrzem Międzyboża do czasu opuszczenia tych terenów przez władze polskie w lipcu 1920 r. Miesiąc później, po powrocie do kraju, wstąpił jako ochotnik do wojska i został przydzielony do 21 Pułku Piechoty w Warszawie, skąd trafił do Sosnowca.

Edmund zrobił duże wrażenie na obu paniach, a one chyba na nim też. Następnego dnia zadurzona panna próżno wyczekiwała Edmunda. W księgarni pojawił się w zamian hotelowy boy z wielkim bukietem kwiatów. Na dołączonym bilecie były życzenia świąteczne dla panny Mani i ukłony dla pani Marii z informacją, że wyjechał na święta do domu i powróci do Sosnowca po Nowym Roku. Na kolejne święta w 1921 r., tym razem wielkanocne, Edmund nie pojechał do Dmehina, ale pozostał w Sosnowcu. W drugi świąteczny dzień był bowiem zaproszony do domu państwa Korczak-Hahnów na ul. Swobodnej, w kamienicy należącej do państwa Strzeleckich. Po deserze oświadczył się Marysi, a następnie poprosił Marię Korczak-Hahnową o rękę jej córki. Ślub odbył się w sierpniu 1921 r. w sosnowieckim kościele Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny (dziś katedra). Młoda para opuszczając kościół, przeszła pod szpalerem z szabli, utworzonym przez kolegów z wojska pana młodego.

Rok później Biuro Węglowe, którym kierował Edmund Gruszczyński, zostało przeniesione do Katowic. W tym czasie urodził się pierwszy syn Władysław. Nowe obowiązki ojcowskie i uciążliwy dojazd do pracy do Katowic spowodowały, że Edmund po urlopie w sierpniu 1922 r. wystąpił z wojska i przeszedł do rezerwy.



Edmund Gruszczyński już następnego dnia bycia w cywilu włączył się do pracy w księgarni. Wniósł z sobą inicjatywę i rozmach. Księgarnia, której stał się współwłaścicielem, zaczęła dynamicznie rozwijać się, wzrosły obroty, a lokal okazał się za mały. Rozpoczęły się poszukiwania znacznie większego obiektu z dużym zapleczem. Takiego w Sosnowcu nie było. Postanowił więc go wybudować. Inwestycja wielokrotnie przerastała możliwości Edmunda. Musiał więc znaleźć współników. Najprościej było w sosnowieckim oddziale Stowarzyszenia Kupców Polskich, którego był aktywnym członkiem od ponad roku. Znalazł więc jeszcze trzech handlowców (Pawła Kucharskiego, Juliana Krawczyka i Władysława Czechowskiego), którzy podobnie jak E. Gruszczyński wzięli kredyt hipoteczny i wspólnie wznieśli ciąg budynków zaprojektowanych przez Stanisława Dankowskiego, w których znalazła się księgarnia „Wiedza”. Budowa okazałego obiektu, w skład którego wchodziły sklepy, kino i restauracja z kawiarnią, ruszyła w marcu 1924 r. a już w czerwcu 1925 r. księgarnia „Wiedza” została przeniesiona do tzw. Domu Czterech Kupców. W nowym lokalu można było pomieścić szeroki asortyment wydawnictw książkowych, kartograficznych, artystycznych oraz artykułów papierniczo-piśmiennych i szkolnych. W jednym z pomieszczeń na zapleczu księgarni urządzono wypożyczalnię książek z czytelnią.



*Kompleks handlowo-usługowy w Sosnowcu przy ul. Głównej.*

*Od prawej: „Dom Czterech Kupców”, kino „Udziałowe”, restauracja i kawiarnia „Savoy” oraz sklep kolonialny. Podczas przebudowy centrum miasta w 1975 r. perłka architektoniczna Sosnowca została wyburzona; w jej miejscu powstał skwer niecieszący się popularnością wśród sosnowiczian*



*Fragment wnętrza księgarni w nowym lokalu*

Jak przystało na woj-  
skowego, Edmund Gruszczyń-  
ski działał konsekwentnie  
według wcześniej przyjętej  
strategii, która przy sprzyjają-  
cej koniunkturze szybko przy-  
nosiła efekty i już na początku  
lat trzydziestych księgarnia  
„Wiedza” stała się jedną  
z ważniejszych placówek księ-  
garskich w Polsce. Księgarnia  
zaopatrywała się w książki

u najbardziej renomowanych wydawców m.in. w Instytucie „Biblioteka Polska”, Wydawnictwie Gebethnera i Wolfa oraz Konrada Prószyńskiego, a także w Instytucie Wydawniczym „Nasza Księgarnia” w Warszawie, w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich, Firmie Wydawniczej W. Gubrynowicza i Zjednoczonych Zakładach Kartograficznych i Wydawniczych „Książnica Atlas” we Lwowie oraz Poznańskiej Spółce Wydawniczej, Książnicy Śląskiej w Mikołowie i w firmach wydawniczych w Wiedniu, Paryżu, Lipsku, Berlinie i Dreźnie.

Księgarnia „Wiedza” była też oficjalnym przedstawicielem na Polskę wie-  
deńskiej firmy „Piatnik”, znanej na całym świecie z produkcji wysokiej jakości  
kart do gry. Zaopatrywały się w nie w Sosnowcu kasyna z całej Polski, a także  
kolekcjonerzy okazjonalnych niskonakładowych serii kart do gry, a śląskie składy  
księgarsko-papiernicze w karty do skata. W dziale filatelistycznym księgarni moż-  
na było kupić klasery i serie znaczków pocztowych z wielu europejskich państw.  
Od 1934 r. w księgarni mieściła się też kolektura nr 488 Polskiej Państwowej  
Loterji Klasowej (pisownia oryginalna) oraz punkt zamiejscowy Polskiego Biura  
Podróży „Orbis”. Księgarnia „Wiedza” obok sprzedaży detalicznej, w latach trzy-  
dziestych podjęła szeroką działalność wydawniczą, wydając m. in. „Plan miasta  
Sosnowca”, a także ponad sto pocztówek z widokami miast Zagłębia.

Księgarnia „Wiedza” w 1939 r. była członkiem Komitetu Przewodnika po  
Zagłębiu Dąbrowskim. To było pierwsze takie wydawnictwo o regionie zagłę-  
biowskim. Książka ukazała się tylko w wydaniu bibliofilskim na papierze kred-  
owym w nakładzie zaledwie 50 egzemplarzy. Druk wysokonakładowy zaplanowano  
na późną jesień. Wybuch wojny pokrzyżował te plany. Masowe wydanie nigdy się  
nie ukazało.

Edmund Gruszczyński szybko stał się osobą znaną i cenioną w środowisku  
księgarskim i w sferach gospodarczych Zagłębia, a stopniowo i na szerszą skalę.  
Poza pracą zawodową działał społecznie w licznych organizacjach. Razem  
z Wandą Regulską, Julią Ringman oraz Stefanem Dipplem w 1926 r. utworzył  
Koło Związku Księgarzy Polskich Zagłębia Dąbrowskiego, które (po połączeniu  
z podobnymi kołami z Częstochowy, Kielc i Radomia) rozszerzyło swą działal-  
ność na teren całego województwa kieleckiego. Od założenia do 1939 r. był preze-

sem tego Koła, będąc równocześnie od 1928 r. członkiem Zarządu Głównego w Warszawie, a w 1939 r. wybrany został wiceprezesem Zarządu Głównego Związku Księgarzy Polskich.



*Edmund Gruszczyński  
w sędziowskiej todze*

W latach 1928–1930 Edmund Gruszczyński był prezesem Oddziału Stowarzyszenia Kupców Polskich w Sosnowcu, w 1928 r. został radcą Izby Przemysłowo-Handlowej w Sosnowcu, a następnie od 1930 r. do wybuchu II wojny światowej wiceprezesem tej Izby. W tym czasie został wybudowany dla tej organizacji okazały gmach.

W roku 1933 i 1937 minister sprawiedliwości powołał Edmunda Gruszczyńskiego na sędziego handlowego Sądu Okręgowego w Sosnowcu, na czteroletnie kadencje. Był również ławnikiem Okręgowego Sądu Pracy w Sosnowcu. Od 1932 r. został członkiem Komitetu Dyskontowego Banku Gospodarstwa Krajowego w Katowicach, a od 1931 r. pełnił funkcję członka Zarządu Banku Zagłębia w Sosnowcu. Za zasługi w pracy społecznej otrzymał w 1932 r. Złoty Krzyż Zasługi. Za działalność niepodległościową oraz udział w wojnie odznaczony został Medalem

Niepodległości, medalem „Polska swemu Obrońcy”, odznaką powstańczą i francuskim medalem za I wojnę światową „Médaille commémorati ve de la rande guerre”. W 1938 r. otrzymał Brązowy Medal za Długoletnią Służbę.

Wraz ze wzrostem obrotów księgarnia „Wiedza” zwiększała zatrudnienie. W szczytowym okresie zatrudniała nawet 9 osób. Finansami księgarni, zaopatrzeniem i kierowaniem placówką zajmował się Edmund Gruszczyński, za ladą i w kasie wspierała go żona Maria, choć na początku lat dwudziestych po urodzeniu najpierw syna Władysława, a później bliźnięt Jadwigi i Tadeusza, zawiesiła pracę do czasu zatrudnienia w domu służącej i guwernantki do dzieci. W 1939 r., w czasie wakacji pracę w księgarni rozpoczął Władek, najstarszy syn państwa Gruszczyńskich. W sierpniu tego roku, tuż przed wybuchem wojny, Edmund Gruszczyński jako oficer rezerwy został powołany do wojska. Jednostkę, do której został przydzielony, ewakuowano do Złoczowa w woj. tarnopolskim, gdzie w połowie września nastąpiło jej rozwiązanie. Pod koniec października 1939 r. wrócił do domu. Pod jego nieobecność księgarnią zarządzali żona i syn.

Wraz z wybuchem II wojny światowej zmieniła się też księgarnia „Wiedza”. Z półek musiały zniknąć polskie książki, atlasy i mapy. Udało się je schować w piwnicznym magazynie, pod paczkami z materiałami piśmiennymi, biurowymi i pakami książek niemieckich. Bez zmian pozostały działy z materiałami biurowymi i piśmiennymi, w ofercie filatelistycznej nie było już znaczków polskich, austriackich i czechosłowackich. Polskie książki zastąpiono niemieckimi. Zmiany, które wprowadzono w księgarni spowodowały, że Niemcy nie ingerowali w tematykę sprzedawanych książek w ich języku. Była to przede wszystkim literatura piękna i tłumaczenia niemieckie znanych światowych pisarzy. Ten zabieg sprawił, że aż do 1943 r. na półkach księgarni „Wiedza” nie było książek nazistowskich. Także w oknach wystawowych sklepu nie było portretów Hitlera. Dla zaufanych, mimo dużego niebezpieczeństwa, na zapleczu księgarni Edmund Gruszczyński miał polskie książki z przedwojennych zapasów i sprowadzane specjalnie z Krakowa.

Zmieniło to się w lutym 1943 r., gdy Niemcy zabrali Gruszczyńskim księgarnię, a jej właściciela wysłali do pracy w zajezdni tramwajowej w Będzinie. Tam, aż do wyzwolenia, pracował fizycznie m.in. jako stolarz. Rok wcześniej z powodu donosu został aresztowany i po niedługim czasie zwolniony na wolność. W czasie, gdy przez dwa lata księgarnią zarządzał treuhänder (powiernik), nad drzwiami powiewała flaga ze swastyką, a tabliczkę *Księgarnia „Wiedza”* zastąpiło napisem *Bücher und Bürobedarf*.

Po opuszczeniu przez Niemców Sosnowca, w lutym 1945 r. Edmund Gruszczyński ponownie zajął się księgarnią. Niełatwo było zaczynać wszystko od początku, zwłaszcza że zaczęło brakować zdrowia. Żona, która w czasie okupacji zachorowała na nogi i miała problemy z chodzeniem, nie wróciła już do pracy. Był za to syn Władysław, który od 1947 r. zaczął przejmować obowiązki ojca w księgarni, oraz córka Jadwiga. Pomagały panie Bolesława Burdzińska i Władysława



*Edmund Gruszczyński (1883–1948)  
w 1948 r.*

Pierścionek, które zatrudnione były w księgarni jeszcze przed wojną. Powoli księgarnia „Wiedza” odradzała się.

Edmund Gruszczyński wznowił też działalność społeczną. Został wybrany wiceprezesem zarówno Związku Księgarzy Polskich w Katowicach jak i Stowarzyszenia Kupców Polskich w Sosnowcu. W 1946 r. Minister Sprawiedliwości powołał go na sędziego handlowego Sądu Okręgowego w Sosnowcu. Jesienią 1947 r. Edmund Gruszczyński przestał pracować i udzielać się społecznie. Ciężko chorował, prawdopodobnie na raka. Zmarł 21 lutego 1948 r.

Ś.  P.

**EDMUND GRUSZCZYŃSKI**  
**KSIĘGARZ**

Wiceprezes Izby Przemysłowo-Handlowej w Katowicach. Wiceprezes Stowarzyszenia Kupców Polskich w Sosnowcu, b. oficer Wojsk Polskich. Odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi

**po długich i ciężkich cierpieniach opatrzonej św. Sakramentami zmarł dn. 21. 2. 1948 r.  
przeżywszy lat 65.**

**W zmarłym tracimy najukochańszego i najlepszego męża i ojca.**

Wyprowadzenie drogich nam zwłok z domu żałoby przy ul. Swobodnej 8 na cmentarz miejscowy odbędzie się we wtorek dnia 24. lutego 1948 r. o godz. 15-ej.

Na smutne te obrzędy zapraszają wszystkich krewnych i znajomych pozostali w nieutulonym żalu

**żona, córka, syn, siostra, bracia i rodzina**

Nabożeństwo żałobne za spokój duszy zmarłego odbędzie się dn. 24 lutego br. o godz. 7.40 w kościele parafialnym św. Andrzeja Boboli

Drak. Piekarski. Ksi. Zakł. Graf. nr. 17. 2188 S. ul. 1/19483

*Nekrolog Edmunda Gruszczyńskiego (1948 r.)*





*Władysław Gruszczyński (1922–2008)*

Po Władysławie Korczak-Hahnie, Marii Gruszczyńskiej, Edmundzie Gruszczyńskim, Władysław Gruszczyński – absolwent Gimnazjum im. Staszica w Sosnowcu i Liceum Handlowego w Krakowie został czwartym i zarazem ostatnim właścicielem księgarni „Wiedza”.

Kapitał księgarni, w przeciwieństwie do przedwojennych lat jej świetności, był bardzo skromny. Księgarnia jednak stopniowo rozwijała się i odzyskiwała dawny blask, w przeciwieństwie do innych placówek w tej branży, które bankrutowały i w większości przejmowane były przez państwo. Gruszczyński pamiętał doskonale rady ojca oparte na wieloletnim doświadczeniu i wiedział, co czynić, by klienci, którzy raz przyjdą do księgarni, odwiedzali ją przy każdej okazji.

Kiedy wydawało się, że księgarnia wraca do doskonałości, w sobotę 7 kwietnia 1951 r. przy ladzie pojawiło się dwóch panów i kilku milicjantów. Chcieli rozmawiać z właścicielem. Zaskoczonemu Władysławowi Gruszczyńskiemu okazali dokument oznajmiający, że z tym dniem księgarnia z całym majątkiem przechodzi na własność państwa. Personel poprosili o opuszczenie sklepu, a właściciela o klucze. Łaskawie pozwolili mu zabrać utarg i wszystko to, co sam mógł wynieść z księgarni. W dwóch kartonach po książkach zabrał więc portrety dziadka, mamy i ojca – założyciela i poprzednich właścicieli księgarni „Wiedza”, pamiątki rodzinne, a także po kilkanaście kompletów najdroższych wiecznych piór, przyborników kreślarskich, piatnikowskich kart do gry, a ukradkiem do kieszeni schował jeszcze kilka pudełeczek (tyle było w sklepie) ze złotymi stalówkami do wiecznych piór. Ponaglany, opuścił księgarnię, gryząc język ze złości, gdy patrzył, jak zamykano sklep, a zamek oklejono taśmami z pieczęciami. Pod sklepowymi drzwiami pozostali milicjanci. Po powrocie do domu przez cały wieczór i noc razem z matką, siostrą i szwagrem radzili, co robić. Ustalili, że w poniedziałek Władysław z siostrą Jadwigą udadzą się do przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej Pawła Łanuchy. Głęboko wierzyli, że decyzja o konfiskacie zostanie cofnięta.

Następnego dnia, w niedzielę, Władysław oniemiał, gdy podszedł pod księgarnię. Na chodniku przed drzwiami nadal oklejonymi taśmą nie było już milicjantów. Za to w powietrzu fruwały jakieś papiery, fragmenty książek. Pusto było na

wystawach okiennych i na regałach wewnątrz księgarni. Kiedy w poniedziałek Władysław i Jadwiga udali się do magistratu, nikt nie chciał z nimi rozmawiać. O dostaniu się do przewodniczącego Łanuchy nie było mowy. Wejścia strzegli milicjanci. Ktoś poradził, by udali się ze sprawą do Komitetu PZPR. Tam także odbili się od drzwi. Postanowili szukać pomocy u adwokatów. Odwiedzili kilka kancelarii w Sosnowcu, a następnego dnia w Katowicach, ale żaden prawnik nie chciał się podjąć ich sprawy. Gdy wrócili do domu, na Władysława czekała wiadomość z „Domu Książki” w Katowicach od pracujących w nim kolegów księgarzy. Od zaraz mógł podjąć pracę w tej instytucji. Niechętnie, ale skorzystał z tej okazji w nadziei, że nowe doświadczenia pomogą mu w pracy po odzyskaniu księgarni. Nigdy to jednak nie nastąpiło. Po kilku tygodniach w dawnym lokalu księgarni „Wiedza” urządzono sklep tekstylny. Na półkach, w miejscu, gdzie kiedyś stały starannie ułożone książki, leżały bele materiałów.

W „Domu Książki” Władysław Gruszczyński przepracował prawie 40 lat. Zaczynał jako instruktor, a skończył jako dyrektor oddziału tego przedsiębiorstwa w Częstochowie. Po tym, jak trafił do katowickiego oddziału „Domu Książki”, powinien odbyć kursy specjalistyczne. Jednak znając jego kwalifikacje, dyrekcja firmy uznała, że to właśnie on będzie szkolił kadry księgarskie i przyszłych instruktorów.

Efekty były widoczne. W drodze awansu powierzono mu kierowanie jedną z sekcji w zarządzie katowickiego oddziału, a następnie od 1957 r. przez cztery lata kierował Rejonowym Zespołem Księgarń w Sosnowcu. W tym czasie rozbudował w Zagłębiu sieć placówek, które miały najwyższe obroty wśród księgarń w woj. katowickim. Ponieważ nie należał do partii i nie chciał do niej wstąpić, nie było zgody Zjednoczenia Księgarstwa w Warszawie, a tak naprawdę władz partyjnych, na awansowanie Gruszczyńskiego na dyrektora oddziału w Katowicach czy zatrudnienie go w kierownictwie warszawskiej centrali. Wymyślono za to utworzenie w Częstochowie ekspozytury „Domu Książki”, czegoś mniejszego niż oddział, ale działającego na podobnych zasadach i zatrudnienie Władysława Gruszczyńskiego na stanowisku dyrektora. Uzasadniono to dużą liczbą mieszkańców woj. katowickiego i potrzeby rozbudowy sieci księgarń. Dla symetrii utworzono podobną placówkę w Bielsku-Białej. Tak więc, od 1961 r. w strukturach Zjednoczenia Księgarstwa było 17 oddziałów, po jednym w każdym z województw i dwie wspomniane ekspozytury. Ambitny księgarz z Sosnowca po kilku latach doprowadził do sytuacji, że mała ekspozytura z Częstochowy (obejmująca swym zasięgiem powiaty częstochowski, kłobucki, lubliniecki, myszkowski i zawierciański) pod względem obrotów lokowała się w czołówce krajowej po oddziałach warszawskim, katowickim i łódzkim. Księgarnie częstochowskiej ekspozytury wygrywały też ogólnopolskie konkursy m.in. na najprzyjemniejszą obsługę, najciekawszy wystrój okien wystawowych. W ciągu kilkunastu lat ekspozytura częstochowska mogła się poszczycić największym przyrostem księgarń w Polsce. W 1976 r. przekształcono ekspozyturę w Częstochowie w oddział podlegający bezpośrednio Zjednoczeniu Księgarstwa.

W okresie 30 lat dyrektorowania w Częstochowie Władysław Gruszczyński zmodernizował 24 księgarnie i utworzył 40 nowych. W wieku 68 lat przeszedł na emeryturę. Było to w 1990 r., gdy likwidacji poddano przedsiębiorstwo „Dom Książki”. Władysław Gruszczyński, podobnie jak jego ojciec Edmund, poza pracą zawodową aktywnie udzielał się społecznie w środowisku księgarskim. W 1956 r. był współzałożycielem Stowarzyszenia Księgarzy Polskich, w którym pełnił różne funkcje m.in. członka Prezydium Zarządu Głównego.

Szanowanego księgarza wywodzącego się z księgarskiego rodu w trzech pokoleniach za swoją pracę zawodową i społeczną uhonorowano wieloma odznaczeniami i wyróżnieniami m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi, Odznaką Zasłużony Działacz Kultury, złotymi odznakami za zasługi dla województw katowickiego i częstochowskiego.

Zmarł w 2008 r. Pochowany jest w rodzinnym grobie na Cmentarzu Katedralnym w Sosnowcu.



*Grób rodzinny Gruszczyńskich, w którym spoczywają trzy pokolenia sosnowieckich księgarzy*

Andrzej Kotulecki

*Autor jest prawnukiem W. Korczak-Hahna, wnukiem M. i E. Gruszczyńskich oraz siostrzeńcem W. Gruszczyńskiego.*



*Nuchim i Rywka Cukiermanowie z Będzina*

## **Będzińscy Cukiermanowie**

### **Fundatorzy bóżnicy w świetle badań genealogicznych**

Mieszkańcom Będzina, zwłaszcza starszym, nie obce jest określenie Brama Cukiermana (błędnie Cukermana), przed wojną i jeszcze kilkadziesiąt lat po niej miejsce tętniące życiem, ówczesne „centrum handlowe”. Dziś Brama Cukiermana rozumiana jest jako uliczka łącząca na skrót aleję Kołłątaja z placem 3 Maja – dawnym Nowym Rynkiem. Nazwa ta teraz kojarzy się przede wszystkim z żydowskim domem modlitwy (bóżnicą), którym opiekuje się fundacja „Brama Cukermana” (właśnie taka pisownia). Przez pół wieku posesją przy ulicy Hugona Kołłątaja (wcześniej Sławkowskiej) 24 była własnością Nuchima i Rywki Cukiermanów, którzy ją też zabudowali.

#### **■ Będzińscy Cukiermanowie**

Cukiermanów wyznania mojżeszowego przed II wojną światową w Będzinie było bez liku. Spis ludności żydowskiej z końca 1939 r., sporządzony na polecenie władz niemieckich przez miejscowy Judenrat (namiastka gminy żydowskiej) wymienia aż 17 adresów większych i mniejszych rodzin o tym nazwisku oraz kilka adresów pojedynczych osób.

Księga płatników gminy żydowskiej na 1938 r. wymienia 23 osoby (głowy rodzin) o tym nazwisku zamieszkałe w Będzinie; aż 12 rodzin Cukiermanów było zwolnionych ze składki. W historii miasta utrwaliły się przede wszystkim trzy rodziny Cukiermanów – z ulicy Kołłątaja 24 i 18 oraz z ulicy Małachowskiego 13. Na ich czele stali: Nuchim (1858–1929), Herszel (1872–1943) i Chaim Wigdor (1879–1943). Ten ostatni był właścicielem fabryki cukierków, w której pracowała cała rodzina, w tym siedmioro dorosłych dzieci.

Natomiast przy ul. Kołłątaja 18 znaną w Będzinie cukiernię prowadzili Herszel i Rywka („Gejle Rywkele”, czyli ruda Rywcia) z Zelikowiczów Cukiermanowie. Po krótkim pobycie w Palestynie w czasie kryzysu gospodarczego wrócili do Będzina w połowie lat 20. XX w. Ich znany i lubiany w mieście syn Beniamin (1908–1943) krótko przed wojną kierował fabryką czekolady, a z zamiłowania był fotografem; pozostawił po sobie liczne zdjęcia (publikowane w wydawnictwie Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau). Najprawdopodobniej zmarł w niemieckim obozie pracy przymusowej na Dolnym Śląsku, a rodzice zginęli w KL Auschwitz.

Natomiast Cukiermanowie z dawnej ul. Sławkowskiej (później Kołłątaja) dom nr 307 (nr hipoteczny 73) pochodzą z Działoszyc, małego, starego miasteczka położonego koło Pińczowa na Ziemi Kieleckiej. Bliskie sąsiedztwo granicy z Austrią i Rzeczpospolitą Krakowską, dogodnie dla handlu miejsce, spowodowało znaczne nasilenie się tam osadnictwa żydowskiego. Lokalizacja sprzyjała również o wiele bardziej opłacalnemu przemysłowi. W 1820 r. mieszkało tam 436 chrześcijan i aż 1256 Żydów, czyli prawie  $\frac{3}{4}$  ludności miasta.



*Wizyta Naomi Jakobowicz i Lioli Fattal w Będzinie w 2012 r. Audycję radiową nagrywa red. Anna Dudzińska; po prawej prezeska Karolina Jakoweńko*

Prowadzone przez autora (z udziałem Lioli Fattal ze Szwecji, prawnuczki Nuchima Cukiermana) od ponad 10 lat badania genealogiczne nad rodzinami Cukiermanów i Zmigrodów, a i wieloma innymi pozwoliły na opracowanie szczegółowego drzewa genealogicznego obejmującego 9 pokoleń od 2 połowy XVIII wieku. Liola Fattal dwukrotnie odwiedziła Będzin i Bramę Cukiermana – w sierpniu 2012 r. (wraz z wnuczką Nuchima – ponad 90-letnią Naomi Jakobowicz z Izraela) oraz w sierpniu 2013 r. z okazji 70. rocznicy likwidacji będzińskiego getta.

## ■ Praszczurowie

Najdawniej odnotowanym w dokumentach stanu cywilnego przedstawicielem rodu był Herszla (Herszel) Cukierman, handlarz, który zmarł w Działoszycach 8 czerwca 1848 r., przeżywszy 81 lat. Pradziad Nuchima Cukiermana był wdowcem po Chanie, która zmarła 11 kwietnia 1839 r. w wieku 67 lat.

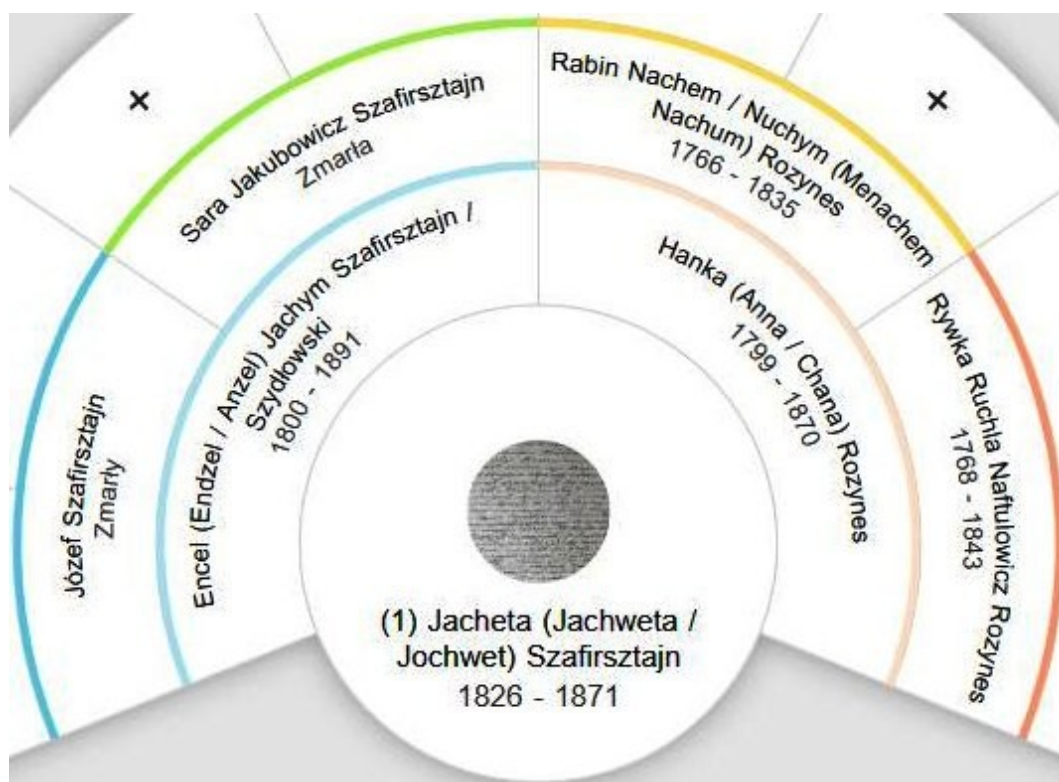
Najstarszy odnaleziony akt stanu cywilnego związany z Cukiermanami dotyczy ślubu syna Herszla i Chany z 15 stycznia 1824 r. – Joska Cukiernika (z Szajndłą Joskowiczówną). Księgi stanu cywilnego Działoszyc (akty ślubów i zgonów) przekazały informacje o trzech synach i jednej córce małżonków Herszli i Chany Cukiermanów. Dziadkiem Nuchima był Jakub Icyk (Jankiel Icchok), który 3 marca 1829 r. w Będzinie poślubił 17-letnią Surlę (Sarę) Kokotek z Będzina, córkę Judki i Perli Lewkowicz. Dali oni początek będzińskiej linii Cukiermanów.



## ■ Rodzice Nuchima Cukiermana

Pierwszym (i najstarszym) urodzonym w Będzinie dzieckiem Jakuba i Sury był Moszek Mordka, zapisywany też jako Mojżesz Marek, handlarz mąką (zbożem), później wiktuałami, ojciec Nuchima. Najstarszy odnaleziony akt urodzenia dotyczący Cukiermanów podaje datę jego przyjścia na świat 2 marca 1830 r.

Jacheta (Jochwet) z Szafirsztajnow Cukiermanowa (2 IV 1826 – 2 IX 1871) urodziła się w Będzinie jako córka Encela Szafirsztajna i Chany (Hanki) z Rozynesów – córki nauczyciela i „wielkiego rabiną” Będzina Menachema Nachuma (Nuchyma) Rozynesesa, zmarłego w wieku 68 lat 10 lutego 1835 r. w Będzinie. To za jego czasów w 1831 r., podczas epidemii cholery, założono nowy cmentarz żydowski po północnej stronie Góry Zamkowej (ul. Podzamcze), na którym rabin został pochowany. Również jego syn Abram Hersz Rozynes przez kilka lat był będzińskim rabinem, ale został usunięty za nadużycia finansowe (zmarł w 1856 r. w Pilicy). Tak więc Nuchim Cukierman pochodził z rodziny rabinicznej, a imię otrzymał po swym pradziadku – rabinie Rozynesie.



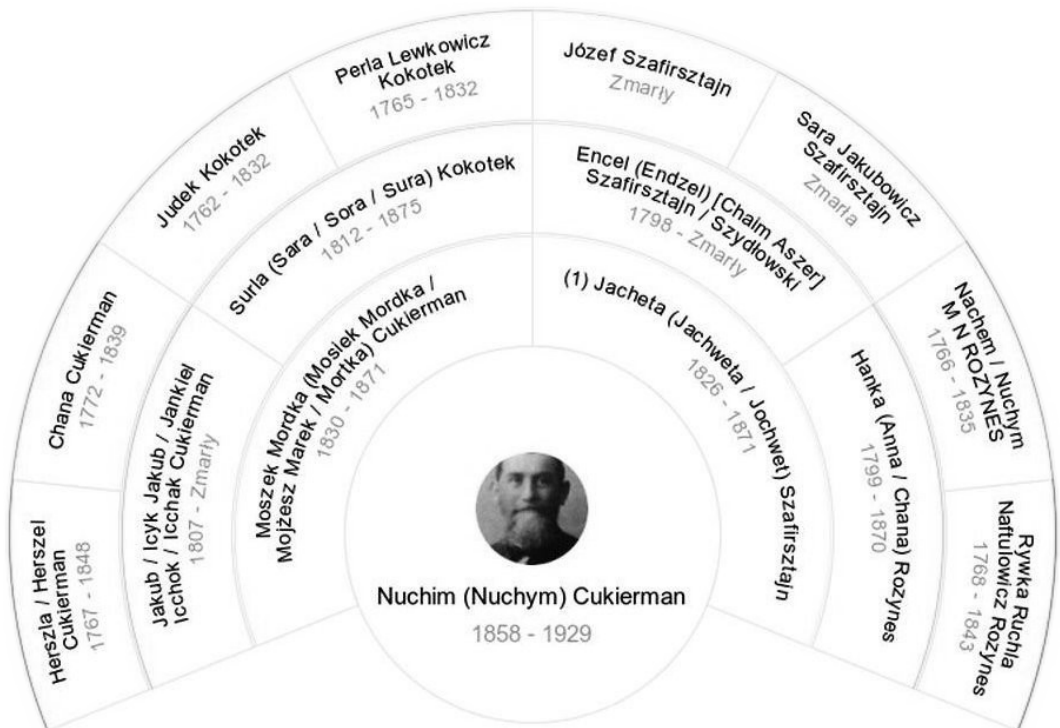
*Przodkowie Jachety Cukierman (My Heritage)*



## ■ Rodzeństwo Nuchima

20 lipca 1850 r. w Będzinie Moszkowi i Jachecie urodziła się córka Rywka Ruchla (po mężu Lenczner), a 1 II 1852 Chana (Chajka) (po mężu Wolfowicz). Ich kolejne dzieci rodzą się w Działoszycach: Małka w 1854, Józef (Josek) Hersz w 1855, Nuchim w 1858, Idel (Judek) w 1860, Dwojra w 1861, Dawid w 1864, Alter w 1868 roku. Wieku dorosłego dożyły dwie córki oraz dwóch synów – Nuchim i Alter, którzy założyli swoje rodziny. Alter Cukierman – kupiec, ożenił się w Częstochowie z Surą Weksler, ale zamieszkał w Będzinie i tam urodziły się jego dzieci (prawdopodobnie wszyscy zginęli w Zagładzie).

Po śmierci żony Jachety, która zmarła w wieku 42 lat 2 września 1871 r. w Kielcach, Moszek Mordka Cukierman jeszcze w tym samym roku w Kielcach poślubił 33-letnią wdowę po Boruchu Klecu z małymi dziećmi, Idesę (Judes) Rajzlę z Diamentów. Wspólnych dzieci prawdopodobnie już nie mieli.



*Przodkowie Nuchima Cukiermana*

*(My Herriage, wityryna Jews from Bendzin Anszela Bendinera)*

## ■ Nuchim Cukierman

Nuchim Cukierman – późniejszy zamożny będziński kupiec – urodził się w Działoszycach, dokąd jego rodzice w połowie XIX w. (ok. 1852–1854 r.) przenieśli się z Będzina. Zgodnie z żydowską tradycją – ósmego dnia życia (21 lutego) został obrzezany, nadano mu imię (po hebrajsku Nahum – biblijne imię proroka mniejszego) i zapisany został do ksiąg stanu cywilnego w kahale. Zapis ten (akt urodzenia) brzmi następująco (pisownia oryginalna):

Działoszyce. 32

Działo się w Mieście Działoszycach dnia dwudziestego pierwszego Lutego Tysiąc osmset pięćdziesiątego ósmego roku. O godzinie pierwszej po południu stawił się Starozakonny Mortka Mosiek Cukierman handlarz zboża tu w Działoszycach zamieszkały lat Dwadzieścia ośm liczący, w obecności świadków Starozakonnego Dawida Dębiny stróża kachalnego lat Trzydzieści ośm i Lewka Plapli robotnika lat Czterdzieści sześć liczących tu w Działoszycach zamieszkałych i okazał Nam Dziecię płci Męskiej urodzone w Działoszycach na dniu Trzynastym lutego roku bieżącego o godzinie drugiej po południu z Małzonki Jego Jachety z Szafiejsztajnow lat Dwadzieścia mającej, któremu przy obrzezaniu nadane zostało Imię Nuchym. Akt ten stawajacemu i świadkom przeczytany i przez Ojca wraz z świadkami podpisany został.

32. Działoszyce Działo się w Mieście Działoszycach dnia dwudziestego pierwszego Lutego Tysiąc osmset pięćdziesiątego ósmego roku o godzinie pierwszej po południu stawił się Starozakonny Mortka Mosiek Cukierman handlarz zboża tu w Działoszycach zamieszkały lat Dwadzieścia ośm liczący, w obecności świadków Starozakonnego Dawida Dębiny stróża kachalnego lat Trzydzieści ośm i Lewka Plapli robotnika lat Czterdzieści sześć liczących tu w Działoszycach zamieszkałych i okazał Nam Dziecię płci Męskiej urodzone w Działoszycach na dniu Trzynastym Lutego roku bieżącego o godzinie drugiej po południu z Małzonki Jego Jachety z Szafiejsztajnow lat Dwadzieścia mającej, któremu przy obrzezaniu nadane zostało Imię Nuchym. Akt ten stawajacemu i świadkom przeczytany i przez Ojca wraz z świadkami podpisany został. —  
p. Ktany: Mortka Mosiek Cukierman  
p. Ktany: Dawid Dębina  
p. Ktany: Lewka Plapli  
Mortka Mosiek Cukierman  
Dawid Dębina  
Lewka Plapli

Akt urodzenia Nuchyma Cukiermana (Archiwum Państwowe w Kielcach)

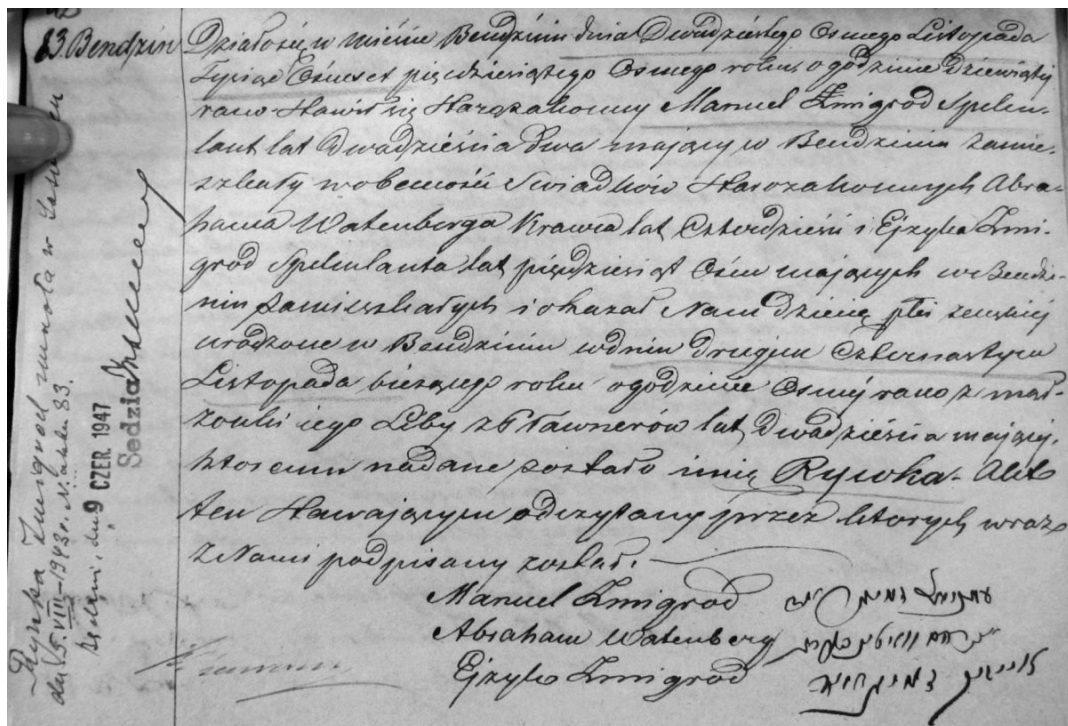
W wieku młodzieńczym Nuchim Cukierman wraz z rodzicami przeniósł się do Kielc. Nie wiadomo, kiedy pojawił się w Będzinie, być może dopiero po ślubie. Mieszkali tu jednak jego dziadkowie ze strony matki – Encel (Enzel) i Anna (Chana) Szafirsztajnowie (Chana zmarła w 1870 r. w wieku 71 lat, a Encel być może dopiero w 1891).

## ■ Rywka ze Zmigrodów Cukiermanowa

14 sierpnia 1877 r. o godzinie 14 w Będzinie 19-letni Nuchim Cukierman zawiera związek małżeński z będzinianką, swą rówieśniczką, Rywką Zmigrod. Ślubu w będzinińskiej drewnianej jeszcze synagodze udzielił rabin Iczele (Icyk) Kimelman, na urządzie od 1866 do śmierci w 1893 r. Z aktu ślubu dowiadujemy się też, że świadkami uroczystości byli: Mosiek Ferszt – muzykant, 55 lat i 45-letni Szyja Londner – szkolnik.

Zapewne zamieszkuje wtedy w Będzinie w domu nr 188. Informacja o tym fakcie pochodzi z dokumentu magistratu Działoszyc z 25 listopada 1883 r. (Księga ludności stałej Będzina, str. 6164).

Rywka Zmigrod urodziła się 14 listopada 1858 r. w Będzinie w wielodzietnej rodzinie 22-letniego Manuela (Emanuela) (1837–1902) i 20-letniej Liby z Plawnerów (1837–1916), którzy pobrali się w Żarkach w 1857 r. (akt urodzenia nr 83 z 28 XI 1858 r.).



Akt urodzenia Rywki Zmigrod (z adnotacją z 1947 r. o jej zgonie)  
(Archiwum Państwowe w Katowicach)

## ■ Dzieci Cukiermanów i ich potomkowie

Małżonkowie dochowali się liczne go potomstwa – w latach 1879–1895 rodzi się dwanaścioro dzieci – 5 synów i 7 córek; dwoje zmarło w dzieciństwie. 26 stycznia 1879 r. rodzi się ich pierworodny syn Abram. Kolejno (w domu nr 188 w Będzinie) urodzili się:

1. **Abram** – 26 stycznia 1879 r.; kupiec; z żoną Nacią (Natalią / Noma) z d. Fels (1882–1942) miał syna Mańka (Emanuela) (urodzony 30 I 1903); mieszkali w Łodzi (ul. Konstantynowska 30) i Warszawie; zginęli w sierpniu 1943 r. w KL Auschwitz-Birkenau;
2. **Josek Hersz (Józef)** – 24 maja 1880 r.; z żoną Femcią (Frymetą) z Meitlisów (1888–1943) miał syna Bronisława (1906–1961);
3. **Jachweta (Ewa) Maszlerowa** – 13 lipca 1882 r.; z mężem Józefem Maszlerem z Tarnowa (1877–1942) miała córki urodzone w Tarnowie: Zosię po mężu Margoshes (1904–1988) i Lidkę Maszler (1913–1998); oboje są ofiarami Holocaustu; dzieci i wnuki obu córek mieszkają w Izraelu;
4. **Chana (Anna) Zmigrod**, zwana Andzią – 16 stycznia 1883 r.; z mężem Hermanem (Joachimem) Zmigrodem z Będzina (1880–1941) miała syna Maćka (Mieczysława) (w Izraelu Michael Tadmor, 1906–1976), którego syn Yoash Tadmor (urodzony w 1932 r. w Paryżu) oraz wnuki i prawnuki mieszkają w Izraelu; Andzia zginęła w sierpniu 1943 r., a Herman w 1941 lub 1942 r.;
5. **Bajla (Bala) Szyfer** – 23 stycznia 1884 r.; z mężem Hermanem Szyferem (Szyffer) miała córkę Klarę (Lulę) Dawidowicz (1909–1943) i syna Aleksandra (Olka) (1912–1943) (*p. niżej*); wszyscy zginęli w Zagładzie; według zeznań świadka Bajla została schwyтана przez Niemców w getcie na Środuli i zastrzelona około 5 sierpnia 1943 r.
6. **Icyk Jakub** – 29 czerwca 1886 r. (w akcie urodzenia Icek); z pierwszą żoną, Surą Rajzlą z d. Piżyc z Warszawy (1888–1915) miał syna Mietka (1914–1942); drugą żoną była Karolina; zginęli w Zagładzie;
7. **Jakub** – 3 stycznia 1888 r.; jeden z bliźniąt; zmarł w dzieciństwie (6,5 roku) 18 czerwca 1894 r.;
8. **Zendel (Zygmunt)** – 3 stycznia 1888 r.; poślubił Gucię (Gitlę) Margules z Zawiercia (1881–1942); mieszkali w Sosnowcu w domu # 1179 (nr hip. 989); zginęli wraz z synem Arturem (1920–1942) w 1942 r. w KL Auschwitz-Birkenau;
9. **Mania (Maria) Rozenblumowa** – 7 grudnia 1891 r. (zapisana dopiero w 1894 r. wraz z Manią i Zosią); 5 I 1914 r. w Warszawie poślubiła kupca Michała Rozenbluma z Będzina (1888–1943); urodziły im się 3 córki: w 1914 r. Halinka, w 1919 Lidka Snow (zmarła w 2012 r.) i w 1922 r. Daniela zwana Danusią Gotheimer); ich potomkowie mieszkają w Izraelu; Mania zmarła 28 lipca 1976 r. w Hajfie; do wybuchu wojny Rozenblumowie mieszkali na II piętrze kamienicy; po wojnie Mania jako wdowa mieszkała m.in. w Łodzi u Najmanów; wraz z dziećmi wyemigrowała do Izraela;

10. **Lola Maschler** – 10 grudnia 1892 r.; z mężem Markusem (Motek) Maschlerem (Maszler) z Tarnowa (1884–1942) miała dwoje dzieci: Janinę Najman I voto Bukiet (1911– 2004) (jej córka Liola Fattal z rodziną mieszka w Szwecji) i Olgę Weintraub (1912–1942), która wraz z mężem Stefanem (1912–1942) na Kresach wschodnich w 1942 r. popełniła samobójstwo;

11. **Zosia** – 2 kwietnia 1894 r., zmarła w wieku 5 lat 30 czerwca 1899 r.;

12. **Frymeta (Frania) Lipszyc** – 10 maja 1895 r. (zapisana dopiero 16 I 1896 r. z powodu „opieszności ojca”); w 1925 r. w Palestynie wyszła za mąż za Naftalego Lipszyca z Łodzi (1898–1939); 6 VI 1926 r. w Będzinie, w mieszkaniu Cukiermanów, urodziła się im córka Naomi (po mężu Jakobowicz), która do dziś mieszka pod Hajfą w Izraelu; Frania zmarła w 1970 r. w Hajfie.



*Rodzina Cukiermanów i Rozenblumów ok. 1915 r. (fot. ze zbiorów Lioli Fattal)*  
Od lewej – u góry: Michał Rozenblum (mąż Mani Cukierman) | Frania Lipszyc |  
Motek (Markus) Maszler (mąż Loli) | Cesia Zmigrod (bratanica Rywki);  
rzędy środkowe: Liola Maszlerowa | Olga (córka Lioli i Motka) |  
Nuchim Cukierman | Rywka Cukiermanowa | Dawid Chaim Rozenblum –  
ojciec Michała | Mania Rozenblum (córka Nuchima, żona Michała);  
u dołu: Janina Maszler (po mężu Najman) | kuzynka Cesi (?) | Halinka Rozenblum

## ■ Kupiec, przedsiębiorca i filantrop

Reb Nuchim Cukierman staje się znanym, zamożnym kupcem II gildii (źródła archiwalne określają go też mianem „spekulant”). Prowadzi składy – galanteryjny i towarów kolonialnych. Był także założycielem i właścicielem Będzińskiej Fabryki Świec Stearynowych w Będzinie, która w 1913 r. zatrudniała 6 robotników, a w 1920 – 5; jej produkcja w 1915 r. wyniosła 6600 rubli. Interesy prowadził nie tylko w Będzinie, ale także w Sosnowcu (hurtowy skład cukru, nafty, śledzi i soli oraz towarów kolonialnych) i Łodzi.



*Reklamy prasowe przedsiębiorstw Nuchima Cukiermana*

W Archiwum Państwowym w Łodzi znajduje się karta adresowa, która informuje, że 13 VIII 1919 r. przy ul. Konstantynowskiej 30 czasowo zamieszkuje „Nuchem Cukierman”, syn Mojżesza, kupiec, wraz z żoną Rywką i córką Frimetą; do Będzina wyjechali 6 V 1921 r.

Nuchim Cukierman był również aktywnym działaczem społecznym i dobroczyńcą. Był przedstawicielem zarządu żydowskiej gminy wyznaniowej; do lat 20. XX wieku wykazywany jest jako członek zarządu Towarzystwa Dobroczynności w Będzinie (od 1909 r. Towarzystwo Pomocy dla Biednych Wyznania Mojżeszowego założone 24 VII 1899 r. za zgodą gubernatora piotrkowskiego). Do jego obowiązków należało dostarczanie odzieży, żywności i przytułku ubogim, nie będącym w stanie utrzymać się z własnej pracy, oraz udzielanie im w ostateczności wsparcia finansowego.

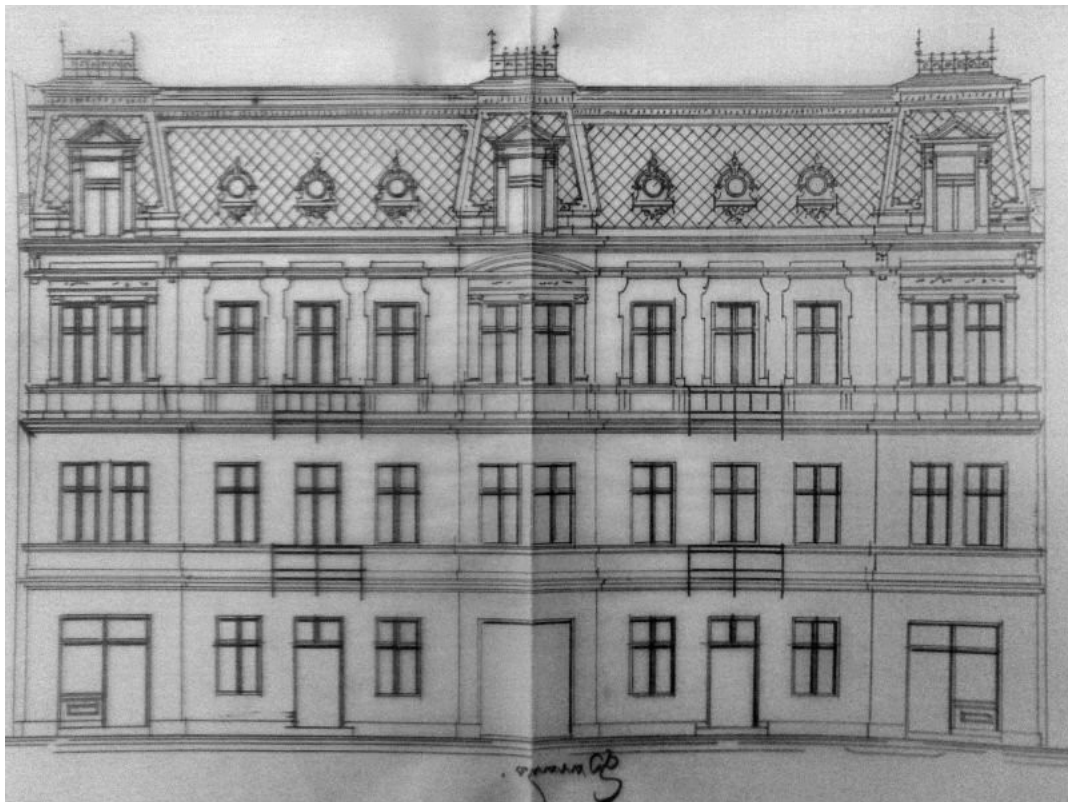
W 1910 r. jest współzałożycielem i członkiem zarządu (m.in. wraz z Lajzerem Borzykowskim i Szymonem Fürstenbergiem) Będzińskiego Towarzystwa Wzajemnego Kredytu Gemilus Chesed (bezprocentowa kasa pożyczkowa).

Na potrzeby Żydowskiego Stowarzyszenia Wzajemnej Pomocy Ahawat Chesed przekazał nieodpłatnie dużą salę. Być może chodzi tu o znany nam dziś dom modlitwy, istniejący od początków XX wieku. Znajduje się on na I piętrze w jednej z oficyn zachodnich. Przez 30 lat sala ta pełni swoją funkcję. Być może już w latach 20. XX wieku ściany sali modlitewnej pokryto religijnymi

malowidłami. Stowarzyszenie prowadziło bezpłatny dom noclegowy, a w 1938 r. obchodziło jubileusz 25-lecia działalności w Będzinie.

### ■ Posesja, kamienica i brama Cukiermana

Cukierman nabywa place w Będzinie (teren dzisiejszej ul. Piłsudskiego, przy ul. Sobieskiego i inne) oraz w Sosnowcu. Na jednym z nich przy ul. Sławkowskiej nr 307 na przełomie XIX i XX w. buduje dwukondygnacyjną (podwyższoną w 1894 i 1902 r.) reprezentacyjną kamienicę i ciąg oficyn. Cukiermanowie zamieszkują na pierwszym piętrze po lewej stronie budynku.



*Projekt kamienicy Cukiermanów (1902) (Archiwum Państwowe w Łodzi)*

Oficynami na wynajem Cukierman zabudowuje całą swą wydłużoną posesję o powierzchni ponad 3 tys. m<sup>2</sup> aż po Nowy Rynek od strony południowej.

Autorem projektu kamienicy Cukiermanów jest najwybitniejszy architekt zagłębiowski – Józef Pomian-Pomianowski (1864–1919) – inżynier powiatowy w Będzinie, a następnie inżynier miejski w Sosnowcu. Jego autorstwa jedynie kamienica Wienerów przy ul. Potockiego przewyższa swą okazałością kamienicę Cukiermanów.

Cukierman był jednym z niewielu posiadaczy telefonu w mieście.

Przekazy mówią, że Nuchim Cukierman był zwolennikiem chasydzkiego cadyka z dynastii Radomsk (radomszczańskiej), Salomona Henocha Rabinowicza

(1882–1942), bogacza rezydującego w Sosnowcu przy ul. Targowej 12, a odprawiającego modły też w sztablu przy będzińskim Rybnym Rynku.



*Grób Nuchima Cukiermana w Czeladzi*

r. na rzecz żony Rywki (w jednej niepodzielnej połowie) oraz dzieci (pozostała część) (Jakub, Abram, Josek, Jachweta Maszler, Chana Zmigrod, Bajla Szyfer, Zyndel, Lola Maszler, Mania Rozenblum, Frymeta Lipszyc z Palestyny).

Jak już wspomniano, w 1938 r. Rywka Cukierman jako właścicielka posesji na liście płatników gminy żydowskiej znalazła się z dużą sumą 300 zł (4 osoby płaciły 2 000 zł, 2 – 1500 zł, 2 – 1200 zł, 4 – 1000 zł, 10 osób od 500 do 1000, 21 od 300 do 500 zł, najwięcej członków gminy płaciło 5 zł, albo było zwolnionych ze składki).

## ■ Zagłada

Podczas II wojny światowej rodzinę Cukiermanów spotyka tragiczny los. W wyniku hitlerowskiej eksterminacji w latach 1942–1943 r. ginie Rywka Cukiermanowa i jej ośmioro dorosłych dzieci (oraz 6 wnuków):

- ‡ Abram (64 lata) z żoną Nacią (Noma) (61 lat) wraz z synem Mańkiem (40 lat);
- ‡ Józef (63 lata) z żoną Frymetą z Majtlisów (55 lat);
- ‡ Ewa (Jachweta) Maszler (61 lat) z mężem Józefem (64 lata) (ich dwie córki przeżyły);
- ‡ Chana (Andzia) (60 lat) z mężem Hermanem Zmigrodem (61 lat);

Nuchim Cukierman zmarł 28 maja 1929 r. (18 ijar 5689) w wieku 72 lat i pochowany został na założonym kilkanaście lat wcześniej cmentarzu będzińsko-czeladzkim przy głównej alei (rząd 15) w męskiej (prawej) części. Do dziś zachowała się większa, dolna część nagrobka z inskrypcją w języku polskim; brakuje części górnej z napisem hebrajskim. W dolnej części w sierpniu 2012 r. umieszczono tabliczkę upamiętniającą Rywkę Cukiermanową i jej dzieci, którzy zginęli w Holocauście. Tabliczkę ufundowała podczas swej wizyty w fundacji „Brama Cukiermana” wnuczka Nuchima Cukiermana, Naomi Jakobowicz z Hajfy.

Po śmierci Nuchima Cukiermana tytuł własności nieruchomości przy ul. Kołłątaja 24 został uregulowany 28 października 1933



† Bajla (59 lat) z mężem Hermanem Szyferem (63 lata) i dziećmi: Lulą (33 lata) (z mężem Kubą Dawidowiczem) i Olkiem (31 lat);

† Icyk Jakub (58 lat) wraz z drugą żoną Karoliną i synem Mietkiem (28 lat);

† Zygmunt (Zendel) (54 lata) z żoną Gucią (Gitlą) (61 lat) i synem Arturem (22 lata);

† Lola (Liola) (49 lat) z mężem Markusem (Motkiem) Maszlerem (58 lat), których córka Olga (30 lat) wraz z mężem Stefanem Weintraubem (29 lat) w związku z wojną popełnili samobójstwo (p. niżej).

Okoliczności śmierci niektórych członków rodziny podczas II wojny światowej znane są z postępowań spadkowych prowadzonych przed Sądem Grodzkim w Sosnowcu w latach 1946–1948 (postępowanie o stwierdzenie zgonu).

30 XI 1946 r. świadek Izrael Klajman (na wniosek pełnomocnika Bronisława Cukiermana z 11 XI 1946 r.) przedstawił sądowi okoliczności śmierci Joska Hersza Cukiermana, który miał być zastrzelony przez Niemców podczas akcji likwidacji getta w Sosnowcu w sierpniu 1943 r.

2 XII 1946 r. Klajman zeznał, że Abram i Jakub Cukiermanowie oraz Lola Maszler, Jachweta vel Ewa Maszlerowa, Chana Zmigrod i Bajla Szyfer, stale mieszkający w Sosnowcu, w czasie okupacji zostali przesiedleni do getta na Środulę, gdzie się ukrywali przed okupantem. W pierwszej połowie sierpnia 1943 roku zostali schwytani i zastrzeleni przez Niemców (datę ich zgonu sąd ustalił na 15 VIII 1943).

3 I 1947 r. Bronisław Cukierman złożył wniosek w sprawie uznania za zmarłą Rywkę Cukiermanową, swą babkę. Sąd ustalił, że została zastrzelona przez Niemców podczas akcji likwidacji getta w Będzinie (może pomyłka, bo w akcie zgonu wpisano Sosnowiec):

*Rywka Cukierman, ostatnio zamieszkała w Będzinie, 5 sierpnia 1943 r. została zastrzelona przez Niemców podczas akcji likwidacji getta w Będzinie. Powyższe okoliczności zostały potwierdzone przez świadka Chaima Berlińskiego.*

*Po przeprowadzonej rozprawie Sąd Grodzki w Będzinie wydał 29 stycznia 1947 r. postanowienie o sygn. zg 7/47, w którym stwierdził, iż Rywka Cukierman – c. Emanuela i Liby z d. Pławner, urodzona 14 listopada 1858 r. w Będzinie, ostatnio zamieszkała w Będzinie, zmarła 5 sierpnia 1943 r. w Sosnowcu.*

*W oparciu o powyższe ustalenia Urząd Stanu Cywilnego w Będzinie wystawił akt zgonu nr 210/1947.*

17 I 1947 r. przesłuchano świadka Bernarda Jegiera, zatrudnionego podczas wojny w getcie przy uprzążaniu osób zastrzelonych. Stwierdził, że w początkach sierpnia 1943 r. wśród zwłok rozpoznał ciało Nomy Cukierman (ur. 1882) (żony Abrama Cukiermana), a kilka dni później jej syna Emanuela (ur. 1903); zostali oni rozstrzelani przez Niemców w getcie na Środuli 3 VIII 1943.

Pełnomocnik Estery Cukierman 11 XI 1948 r. w Sądzie w Sosnowcu złożyła wniosek dotyczący stwierdzenia zgonu jej krewnych: rodzeństwa Aleksandra Szyfera (ur. 8 VI 1912) i Klary Dawidowicz (ur. 27 V 1909) oraz Olgi Wajntraub (ur. 1 VII 1912), ostatnio zamieszkałych w Sosnowcu. Zostali zastrzeleni przez

Niemców podczas akcji likwidacji getta w Sosnowcu w sierpniu 1943 r., co potwierdzono w toku postępowania zeznaniem świadka Bronię Herliszkiewicz, przesłuchanej przed sądem 25 XI 1948 r. Zeznała, iż Estera Cukierman w czasie okupacji została przesiedlona do getta na Środuli w Sosnowcu, gdzie mieszkała w domu nr 359 wraz z kuzynami Aleksandrem Szyferem i Klarą Dawidowicz. Z początkiem sierpnia 1943 r. Aleksander i Klara ukryli się w bunkrze znajdującym się w mieszkaniu pod szafą. W czasie akcji likwidacji getta i przeprowadzonej kontroli mieszkania, Niemcy znaleźli bunkier, nakazali jego opuszczenie, a gdy odmówili wyjścia z kryjówki, wyciągnęli pokrzywdzonych i zastrzelili na miejscu. Zwłoki Aleksandra, Klary i Olgi tego samego dnia zostały wywiezione do Oświęcimia. Sąd Grodzki w Sosnowcu 25 XI 1948 r. ustalił datę ich zgonu na 15 sierpnia 1943 r. Rodzina podaje jednak, że małżonkowie Olga i Stefan Wajntraubowie – w związku z wojną popełnili samobójstwo w Zdołbunowie lub Wołkowysku na Kresach w 1942 r.

Józef Cukierman wraz z żoną i jej rodziną został upamiętniony na tablicy na cmentarzu żydowskim w Sosnowcu przy ul. Gospodarczej, ufundowanej przez krewnego, Jerzego Bolkowskiego z Warszawy (1920–2022).

Zagładę przeżywa jedynie najmłodsza córka Mania vel Maria Rozenblumowa (przed wojną zajmowała lokal na II piętrze, nad mieszkaniem rodziców) i mieszkająca od przedwojnia w Palestynie Frania oraz dziewięcioro wnucząt: Bronisław Cukierman (1906–1961) – syn Józefa i Frymety (Femci) z Majtlisów, Zosia Margoshes (1904–1988) i Lidka Maszlerowa (1913–1998) – córki Józefa i Ewy Jachwety (ich synowie, wnuki i prawnuki mieszkają w Izraelu), Mieczysław (Maciek) Zmigrod (Michael Tadmor) (1906–1976) – syn Hermana (Joachima) i Chany (Andzi) Zmigrodów (jego syn, wnuki i prawnuki mieszkają w Izraelu), Halinka, Lidzia Snow i Danusia (Daniela) Gothaymer – córki Michała i Mani Rozenblumów (ich potomkowie mieszkają w Brazylii, USA i Izraelu), Janina Najman I voto Bukiet (1911–2004) – córka Markusa (Motka) i Lioli Maszlerów (jej córka Liola wraz z rodziną mieszka w Szwecji), Naomi Jakobowicz – urodzona w 1926 r. w Będzinie i mieszkająca w Izraelu córka Naftalego i Frani (Frymety) Lipszyców.

Obecnie żyje ok. 80 potomków Rywki i Nuchima Cukiermanów (nikt jednak nie nosi nazwiska Cukierman) – 1 wnuczka i 13 prawnuków. Mieszkają głównie w Izraelu oraz w Szwecji, Brazylii i USA (rodziny: Margoshes, Maszler, Tadmor, Yoeli, Sasson, Rozenblum, Snow, Gotheimer, Tamir, Yaacobovitz, Frenkel).

### ■ W polskich rękach

13 kwietnia 1948 r. w Oleśnie spisano akt kupna–sprzedaży nieruchomości przy ul. Kołłątaja 24 w Będzinie. Jako spadkobiercy występują: Mania vel Maria Rozenblumowa z Łodzi, córka Nuchima oraz Bronisław Cukierman z Zabrze, jej bratanek. Nieruchomość nabyli: wdowa Wiktoria Balińska z Góreckich (1888–1950) i Genowefa Balińska z d. Płotek (1923–2011) – żona Bogusława oraz małżonkowie Sebastian i Janina Klikowiczowie (wszyscy z Będzina). Byli właściciele

– Rozenblumowa emigruje do Palestyny (do swej siostry Frani), a Broniek Cukierman ostatecznie zamieszkuje w Katowicach, gdzie umiera w 1961 r.

Dawna bóżnica, podczas wojny magazyn, zostaje przebudowana przez Bogusława Balińskiego (1914–2013) na dwupokojowe mieszkanie z kuchnią, który wprowadza się tu wraz z rodziną. Prace adaptacyjne powodują nieodwracalne zniszczenia części zamalowanej polichromii. Od lat 60. XX w. lokal wynajmowano innym lokatorom. Ostatnim z nich był Tomasz Prysak, którego zaintrygowały wychodzące spod farby kredowej fragmenty barwnych malowideł. W 2004 r. o malowidłach dowiedział się Adam Szydłowski, popularyzator żydowskiej przeszłości Będzina, pracownik Urzędu Miejskiego i pod koniec marca 2005 r. ogłosił „odkrycie” żydowskiego domu modlitwy; 4 kwietnia poinformował o tym „Dziennik Zachodni”. W sierpniu 2005 r. dotychczasowemu lokatorowi przyznano inne mieszkanie, a młodzież z klasy historycznej I Liceum Ogólnokształcącego im. Mikołaja Kopernika w Będzinie przez dwa miesiące mokrymi gąbkami odślaniała olejne malowidła.

25 września 2007 r. otwarto dom modlitwy. Ponieważ Urząd Miejski nie opłacał czynszu lokal został zamknięty przez właściciela, a następnie wynajęty na mieszkanie i był przygotowywany do remontu. Informację o zaistniałej sytuacji (malowidła mogły zostać skute) uzyskali w Urzędzie Miejskim od Adama Szydłowskiego Karolina i Piotr Jakoweńkowie. W wyniku ich interwencji przerwano prace remontowe. W celu uratowania i zabezpieczenia obiektu w sierpniu 2008 r. utworzono Inicjatywę Brama Cukermana i za własne środki finansowe wynajęto lokal dawnej bóżnicy. 11 marca 2009 r. Inicjatywa przekształciła się w fundację „Brama Cukermana” (tak to miejsce nazywano w prasie po odkryciu bóżnicy w 2005 r.). W 2009 r. polichromię wpisano do wojewódzkiego rejestru zabytków, a w latach 2010–2011 i 2011–2012 r. przeprowadzono jej rewaloryzację przez konserwatorów zabytków.

## ■ Ostatni z rodu

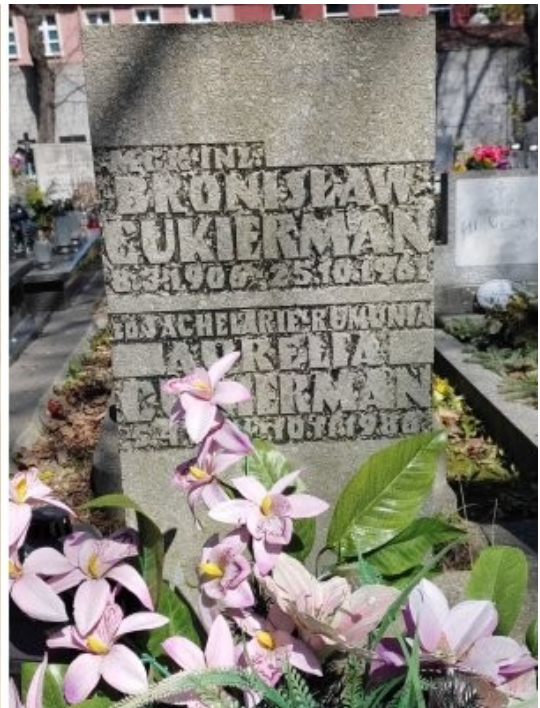
Jeszcze na początku 2022 r. dokonano ważnego odkrycia, dotyczącego Cukiermanów. 11 stycznia odnaleziono mianowicie grób Bronisława (Bronka) Cukiermana (dziękuję za pomoc Bożenie Westphal), który (wraz z żoną Aurelią, zwaną Ritą) znajduje się na cmentarzu katolickim w Katowicach przy ul. Francuskiej. O miejscu pochówku poinformował kuzyn Bronisława, Jerzy Bolkowski (uczestniczył w pogrzebie Bronisława), zmarły w Warszawie 26 maja 2022 r. w wieku ponad 101 lat. Fotografii Bronisława przesłała autorowi w kwietniu 2022 r. jego córka Ewa Zielińska z Warszawy. W ten sposób obalony został rodzinny pogląd, że Bronisław po wojnie wyemigrował do Rodezji.

Bronisław Cukierman – magister inżynier wykształcony w Gandawie, był ostatnim męskim przedstawicielem rodu Cukiermanów. Urodził się w Będzinie 8 marca 1906 r., a nazywany był Bronkiem. Podczas wojny przebywał w Rumunii, gdzie poznał swą przyszłą drugą żonę, Aurelię (Ritę) Sachelarie (5 IV 1921–10 XI 1986). Po powrocie do Polski mieszkali w Zabrze, a następnie w Katowicach.

Bronisław Cukierman w 1955 r. na wniosek Ministra Budownictwa Miast i Osiedli został odznaczony Medalem 10-lecia Polski Ludowej (uchwała Rady Państwa z 8 stycznia 1955 r.).

Jego pierwszą żoną była Wiktoria Inwald (1914–1999) (młodsza o prawie 8 lat), córka zamożnego będzińskiego przemysłowca Jakuba Inwalda i Julii (Judessy) ze Szpigelmanów; zaraz po wojnie rozwiedli się. W 1946 r. w Katowicach Wiktoria poślubiła wdowca Dawida Sznajdermana (w 1951 r. przyjął nazwisko Ignacy Borejdo) (1897–1970), z którym miała dwóch synów: Anatola (zmarł w 2012 w Niemczech) i Juliana (zmarł w 1994 r. w Izraelu). Borejdowie zmarli w Tel Awiwie.

Bronisław Cukierman zmarł w Katowicach 25 października 1961 r. bezpomyślnie.



*Bronek Cukierman w młodości (fot. ze zbiorów Ewy Zielińskiej z Warszawy)  
i jego grób w Katowicach (22 IV 2023, zdjęcie autora)*

Serdecznie dziękuję Pani Ewie Zielińskiej z Warszawy za pomoc w odnalezieniu grobu Bronisława Cukiermana (kuzyna jej ojca) oraz fotografie i dokumenty rodzinne.

Artykuł powstał na podstawie szerszego opracowania oraz wykładu–prezentacji, wygłoszonego przez autora 25 czerwca 2022 r. w bóżnicy Cukiermana w ramach cyklu wykładów „Szul – dom spotkań i nauki”, organizowanym przez fundację Brama Cukiermana w Będzinie.

Andrzej Ciepał

*Dokumenty genealogiczne (akty) pochodzą z Archiwum Państwowego w Katowicach oraz Archiwum Państwowego w Kielcach*

## W poszukiwaniu Altka Wienera – twórcy polichromii w będzińskiej synagodze Mizrachi

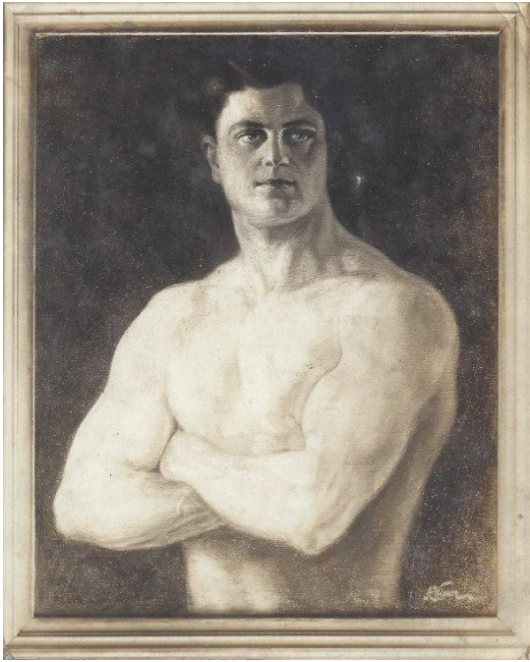


Arthur (Altek) Wiener

W przedwojennym żydowskim domu modlitwy (męska sala modlitw) Organizacji Syjonistów–Ortodoksów Mizrachi w okazałej kamienicy Wienerów w Będzinie przy ul. Potockiego 3 pozostawił po sobie znaki Zodiaku, symbole dwunastu plemion Izraela oraz wizerunki kilku ważnych miejsc w Palestynie (np. grób Racheli i Mur Zachodni, czyli Ścianę Płaczu). Niestety, do tej pory nie rozstrzygnięto ostatecznie kim był autor malowideł. Uratowana kilka lat temu polichromia (tempera olejna na tynku) pokrywa wszystkie ściany oraz sklepienie sali modlitw o powierzchni ok. 70 m<sup>2</sup>. Nawiązuje do rozwijającej się w czasach jej powstania (druga połowa lat 20. ubiegłego wieku) idei syjonizmu i należy do najbogatszych w regionie ikonografii judaistycznych. Jak wynika ze szczegółowego jej opisu autorstwa Ireny Kontny – historyka sztuki ze



*Czy Altek Wiener jest twórcą polichromii w synagodze Mizrachi?*



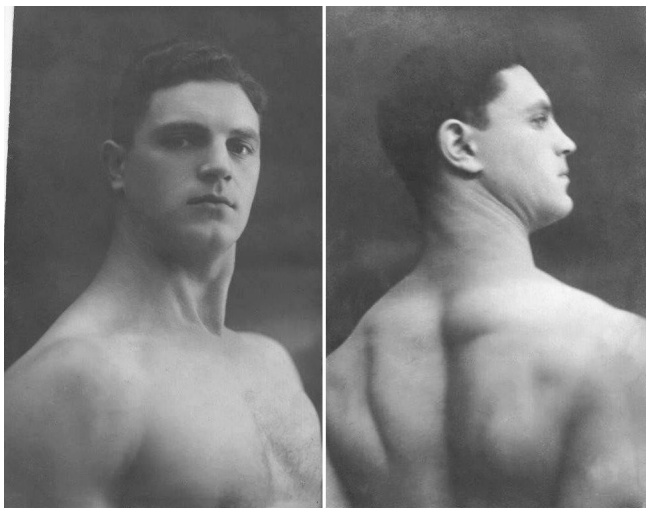
*Portret Altka Wienera – atlety*

Śląskiego Centrum Dziedzictwa Kulturowego w Katowicach – dekoracja malarska wykonana jest w technice olejnej na podmalowaniu temperowym w stylistyce malarstwa realistycznego z elementami sztuki art déco. Polichromia namalowana została jednak z pewną nieporadnością przez bliżej nieznanego twórcę. Odpadająca od ścian polichromia w 2011 r. została uratowana i odrestaurowana przez Katarzynę Dzienniak i Krystynę Białkiewicz z Pracowni Konserwacji Dzieł Sztuki w Sosnowcu-Zagórzu. 12 VIII 2008 r. na wniosek Prezydenta Miasta Będzina polichromię Śląski Wojewódzki Konserwator Zabytków wpisał na listę zabytków ruchomych pod nr B/129/08 (na podstawie wizji lokalnej 24 IV 2007 r.).

Powstała więc ważna kwestia tajemniczego autora polichromii. W chwili „odkrycia” synagogi Mizrachi w lipcu 2004 r. staraniem Adama Szydłowskiego autorstwo jej malowideł próbowano przypisywać będzińskiemu artyście, Samuelowi Cyglerowi (1898–1945). Jednak z ustnej relacji byłej mieszkanki kamienicy Wienera Marii Golik wynika, że jej autorem był młody Altek Wiener, syn właściciela kamienicy, mieszkający w USA, o którym do niedawna niewiele wiedziano. Miał on inspirować się malowidłami z będzińskiej Wielkiej Synagogi (spalona przez Niemców we wrześniu 1939 r.) – dziełem właśnie Samuela Cyglera oraz Mojżesza Applebauma z lat 1925–1926. Kim więc był tajemniczy malarz z domu modlitwy Mizrachi, którego nazwisko przewodnicy po modlitewni bardzo rzadko przywołują? Kierując się swoją ciekawością dotyczącą historii mojego rodzinnego Będzina, podjąłem próbę odpowiedzi na to pytanie. Początkowo zadanie wydawało się niewykonalne. I rzeczywiście, były to bardzo żmudne internetowe poszukiwania jakichkolwiek informacji biograficznych o Altku Wienerze. W sukurs przyszły mi moje badania genealogiczne nad będzińskimi Żydami.

Zbieżność nazwiska twórcy polichromii z przedwojennymi właścicielami posesji na rogu ul. Potockiego 1/3 i Małachowskiego 14, w której prawdopodobnie podczas I wojny światowej działał Organizacji Syjonistów–Ortodoksów „Mizrachi” (Histadrut ha-Mizrachi, Związek Wschodni) założyli bóżnicę nie jest przypadkowa. To właśnie jego ojciec Chil Wiener (Winer) (urodzony 26 II 1858 r. w Będzinie z Majera Jakuba i Chajli ze Szwajcerów) – bogaty będziński kupiec – pod koniec XIX w. wybudował kamienicę, a w jej oficynie założył dom modlitwy wraz z przyległą mykwą (w jednej z piwnic zachowały się jej pozostałości). Projektantem (1895) trzypiętrowego budynku był znany w Zagłębiu architekt

i malarz, inż. Józef Pomian-Pomianowski (1864–1919), od 1889 r. inżynier powiatu będzińskiego, a w latach 1905–1917 inżynier miejski w Sosnowcu, także nauczyciel rysunku w będzińskiej szkole handlowej (którą Altek Wiener ukończył w 1915 roku). Do dziś w klatce schodowej przy ul. Potockiego 1 możemy zobaczyć na posadzce „kafelkowe” inicjały właściciela – „ChW”. Po śmierci Chila Wienera (17 grudnia 1926 r.) kamienicą zarządzał jeden z synów, Jakub (1898–1943), który zginął w KL Auschwitz-Birkenau.



*Ulubionym hobby Altka była atletyka*

mnie osoba. Jego nazwisko odnajdujemy wśród członków pierwszej drużyny gimnastycznej „Hakoachu”, która 1 lutego 1914 r. w składzie: J. Erlich, A. Winer, Brukner, J. Klajnman i L. Pasternak wzięła udział w zawodach gimnastycznych, organizowanych przez łódzki klub "Maccabi". 12 sierpnia 1917 r. „Hakoach” wzięła udział w zawodach w Częstochowie, w których wyróżnili się: Artur Winer, Abram Kokotek-Szlezynger i Jecheskel Borzykowski. W drugiej połowie lat 20. XX w. Artur Wiener widnieje (wraz z Abramem Wrocławskim) jako opiekun sekcji bokserskiej. Co ciekawe, niejaki Arthur Wiener wszedł w skład zarządu powołanego 9 lipca 1926 r. w Nowym Jorku klubu atletycznego (Hakoah Athletic Club)! Zapewne chodzi o naszego Altka. Pozostało więc stwierdzić, czy Altek i Artur to ta sama osoba.

Bohater niniejszego artykułu – Alter Wiener, nazywany familiarnie Altkiem, pieszczotliwie Altusiem, znany był także pod imieniem Artur, a po emigracji w angielskiej pisowni Arthur. Właśnie pod imieniem Artur natknąłem się na niego w angielskiej wersji Pinkas Bendin w artykule poświęconym Żydowskiemu Towarzystwu Sportowemu „Hakoach” w Będzinie (zał. 1914). Należało oczywiście sprawdzić, czy sportowiec Artur Wiener to interesująca



*Legitymacja członkowska będzińskiego „Hakoachu”*

Kolejnym tropem było odnalezienie Arthura Wienera w internetowym drzewie genealogicznym (My Heritage) rodziny Szaja (Shaya) (wywodzącej się z Częstochowy), zarządzanej przez Stevena Alana Shayę z USA. Drzewo jednak nie obejmowało całej rodziny Wienerów.

W grudniu 2015 r. przypadkowo znalazłem inną wzmiankę o Wienerze w angielskim tłumaczeniu internetowej wersji hebrajskiego Pinkas Bendin. Jest to jedyna szersza informacja biograficzna dotycząca malarza. Zamieszczono tam również niewielką czarno-białą fotokopię obrazu przedstawiającego ruiny zamku będzińskiego, namalowanego w 1916 r.

Ostateczne potwierdzenie tożsamości nastąpiło 4 grudnia 2015 r., kiedy przez Internet nawiązałem kontakt z autorem wspomnianego drzewa genealogicznego. W natychmiastowej odpowiedzi Steven Shaya potwierdził, że Arthur Wiener całe życie w USA zajmował się malarstwem dekoracyjnym. Rodzinnie – żona Wienera, Helen z Szajów była kuzynką jego babki. Steven Shaya jest w posiadaniu obrazu Wienera przedstawiającego krajobraz górski. Według niego w USA żyje jeszcze wiele osób z rodziny, które go pamiętają.

Tego samego dnia odnalazłem Arthura na listach spisu powszechnego przeprowadzonego w USA w kwietniu 1940 r. Odnotowano w nim, że miał wtedy 43 lata. Wraz z 39-letnią żoną Heleną (podano, że oboje urodzili się w Niemczech, chociaż jako poprzedni adres zamieszkania podano Częstochowę) i synem dwięcioletnim Charlesem (urodzonym w Nowym Jorku) mieszkał na nowojorskim Manhattanie (West 189 Street dom 519). Jako jego zawód podano „decorating artist” (malarz dekoracyjny), który wykonywał we własnym domu.

W Internecie odnalazłem też kilka innych dokumentów pozwalających odtworzyć ważniejsze wydarzenia jego życia: listę pasażerów – obywateli USA (dla służb imigracyjnych) statku S.S. Aquitania z 1930 r. oraz kartę ewidencyjną wydaną w 1942 r.

Steven Shaya na podstawie moich wskazówek odnalazł telefonicznie wnuczki Arthura (Cindy, Marcy i Felicię), a następnie ich ojca, czyli syna Arthura, Charlesa, mieszkającego w Nowym Jorku. 31 I 2016 r. Marcy Wiener z Izraela przesłała mi e-mailem informację, że jest wnuczką Arthura Wienera i posiada wiele pamiątek rodzinnych. 3 lutego nadesłała kilkadziesiąt cyfrowych zdjęć rodzinnych (z adnotacjami pisanymi ręką Arthura) oraz cyfrowe fotokopie różnych dokumentów. W rodzinnym archiwum Marcy znajduje się dosyć spora kolekcja fotografii z Altkiem. Na jednej z nich, wykonanej w 1910 r. widzimy go obok ojca w kurorcie Bad Salzbrunn (ob. Szczawno-Zdrój) na Dolnym Śląsku.

Zebrane informacje pozwalają na przybliżenie najważniejszych faktów z jego życiorysu. Tak więc Alter Wiener urodził się w Będzinie w domu rodzinnym przy ul. Potockiego 15 listopada 1896 r. jako syn 38-letnich Chila Wienera i Marii Chawy ze Szwajcerów. Rodzice mieli już inne dzieci: Bronię (Chaja Brandla), Cesię, Ejzyka i Motka (zmarł w 1934 r.). W kolejnych latach na świat przyszli jeszcze dwaj najmłodszy bracia: Szmul (Sam) (wyjechał do USA) i w 1898 r. Jakub.



Moje badania genealogiczne pozwoliły na ustalenie także dalszych przodków rodziny Wienerów. Dziadek Chila, Herszla Zorawer (Zoraw) vel Wiener (Winer), domokrażca, po swej śmierci 29 stycznia 1859 r. (zmarł w wieku 75 lat) pozostawił 5 synów i 4 córki (żona Hinda Estera zmarła 12 VI 1851 r.), wśród nich Majera Jakuba (1832–1872), ojca Chila (jego matką była Chajla ze Sz wajcerów).



*Rodzice Artura – Chil i Chawa oraz brat Jakub i siostra Cesia*

Alter vel Artur Wiener 1 kwietnia 1915 r. w Będzinie ukończył V klasę Siedmioklasowej Szkoły Handlowej (ob. I LO im. Kopernika) (zachował się wykaz ocen – przeważały dostateczne – za I i II okres w roku szkolnym 1914/15). Od wczesnych lat życia interesował się malarstwem. Według niepotwierdzonych danych podczas okupacji niemieckiej w czasie I wojny światowej studiował w Warszawie; udokumentowany jest jedynie wpis w poczet uczniów Warszawskiej Szkoły Rysunkowej na semestr 1918/19. W grudniu 1919 r. został przyjęty jako student na Królewską Bawarską Akademię Sztuk Pięknych w Monachium, a w semestrze zimowym 1920/21 studiował w szkole malarstwa Akademii Sztuk Pięknych (Akademie der bildenden Künste Wien) w Wiedniu.

W 1921 r. wyemigrował do USA i zamieszkał w Nowym Jorku przy 118 Street nr 120. Tam pozostawał z przerwami, odwiedzając kraj. Brał udział w różnych wystawach obrazów. W wyniku naturalizacji 2 lub 22 września lub też 11 maja 1927 r. (wg różnych źródeł, 8 III wg Księgi Ludności Stałej Będzina) decyzją Sądu Najwyższego w Nowym Jorku otrzymał obywatelstwo Stanów Zjednoczonych (jednym z warunków otrzymania obywatelstwa USA było zamieszkiwanie na jego terenie na stałe przez co najmniej 5 lat).



*Helena, Arthur i Chilus (Charles) Wienerowie (USA)*

29 grudnia 1929 r. już jako obywatel USA poślubił w Częstochowie Hindę (Helene) Szają z Częstochowy (1898–1986), córkę Józefa i Klary z domu Ufner. „Miesiąc miodowy” spędzili w Zakopanem. Z wykazu obywateli USA przeznaczonego dla służb imigracyjnych dowiadujemy się, że 24-letni Arthur Wiener (zapisany jako kawaler!) w klasie turystycznej statku S.S. *Aquitania* przyплыł do Nowego Jorku 25 lutego 1930 r. (wyplył 19 lutego 1930 r. z portu Cherbourg we Francji). 16 maja 1930 r. na statku S.S. *Mauretania* z portu Southampton w Anglii do Nowego Jorku przybyła żona Arthura. Informację tę potwierdził 17 grudnia 2015 r. Steven Shaya, uzupełniając, że Helena przybyła do Ameryki wraz z jego ojcem Aaronem Szają z Częstochowy (1920–2001) i jego rodziną. Ponadto ojciec Aarona, Kaufman Szaja (1891–1982), był przyjacielem Artura. To on prawdopodobnie poznał swą kuzynkę Helenę z Arturem.

Ostatnią wizytę u rodziny wraz z żoną i ośmioletnim synem Chilusem (urodzonym w Nowym Jorku 25 marca 1931 r.) kończy w czerwcu 1939 r., niespełna 3 miesiące przed wybuchem wojny.

W Holocauście zginęli bracia Ejzyk (z żoną Klarą oraz synem, dr. Zygmuntem Wienerem z Bielska) i Jakub (wraz z żoną Salą i córką Chaną).

Arthur Wiener zmarł w wieku 86 lat 3 października 1984 r. w Fort Lauderdale (37 km na północ od Miami) na Florydzie. Jego żona Helena zmarła tamże 30 stycznia 1986 r., przeżywszy 88 lat.

17 grudnia 2015 r. pan Shaya przysłał mi informację, że Arthur Wiener pracował w Nowym Jorku także jako kuśnierz.

Salę modlitw „Mizrachi” oficjalnie otwarto w ramach II Dni Kultury Żydowskiej 4 października 2004 r. po przeprowadzeniu prac adaptacyjnych, które wykonał Adam Szydłowski. W 2007 r. modlitewnia została zamknięta ponieważ z sufitu zaczęła odpadać polichromia. Nie podjęto jednak żadnych prac konserwatorskich. W maju 2009 r. obiekt został skontrolowany przez wojewódzkiego konserwatora zabytków, Barbarę Klajmon.

5 marca 2018 r. wnuczka Arthura, Marcy Wiener, prawnik izraelski, wraz z mężem odwiedziła Będzin, w tym dom modlitwy Mizrachi oraz Bramę Cukiermana, gdzie zaprezentowała rodzinne fotografie.

Kolejne informacje źródłowe dotyczące rodziny Wienerów zostały pozyskane we wrześniu 2018 r. (Księga ludności stałej Będzina prowadzona do 1936 r.). Wyjaśniły się przede wszystkim losy matki Altka, o których współcześnie żyjąca rodzina nic nie wiedziała. Otóż Maria Chawa Wienerowa zmarła 28 stycznia 1928 r. w Będzinie w 79. roku życia (nieco ponad rok po śmierci męża). Księga ludności pozwoliła też dokładniej ustalić chronologię narodzin ich dziesięciorga dzieci: Hinda Fajga (ur. 1 XI 1879, zm. 18 IX 1881), Ejzyk (Izak) (ur. 22 XII 1884), Bronia (Chaja Brajndla) (ur. 8 II 1886), Mordka (Motek) (ur. 1890, zm. 20 IV 1934), Hersz Chaim (ur. 20 XII 1891, zm. 15 IV 1893), Cesia, czyli Cyma (ur. 7 I 1893) (wyszła za Simona Adwokata), Alter (ur. 1896), Szmul (w USA Sam) (ur. 15 XI 1897, zm. 1978 w Nowym Jorku), Jakub (ur. 18 I 1898) i Nicha (ur. 10 VII 1899, zm. 18 VII 1901). Lista ta zapewne nie jest pełna (chodzi o zmarłych w dzieciństwie), a jej uzupełnienie staje się niemożliwe wobec brak aktów urodzenia niektórych dzieci. Wszyscy potomkowie (z wyjątkiem zmarłych w dzieciństwie) założyły rodziny. 20 kwietnia 1934 r. zmarł przedwcześnie syn Motek (zachowało się zdjęcie rodziny przy macewie na cmentarzu), owdowiawszy Henę Rajzlę z Konsensów (ur. 1890).

Izak (wraz z żoną Chają Klarą i synem – dr. Zygmuntem Wienerem), Jakub (wraz z żoną Salą i córką Chaną) zginęli w Holocauście. Szmul (jako Sam Wiener) (wraz z żoną Helą), podobnie jak Altek/Artur, mieszkał w Nowym Jorku. Los pozostałych nie jest dokładnie znany.

Będzin, 2016–2018

Andrzej Ciepał

Fotografie archiwalne pochodzą ze zbioru rodzinnego Marcy Wiener

Źródła:

Szydłowski Adam, *Synagoga Mizrachi*, Będzin 2005

Kontny Irena, *Dekoracje malarskie w synagodze Mizrachi w Będzinie w:*

[www.scdk.pl/new/index.php?option=com\\_content&view=article&id=585:dekoracje-malarskie-w-synagodze-mizrachi-w-bdzinie&catid=7:sztuka&Itemid=12](http://www.scdk.pl/new/index.php?option=com_content&view=article&id=585:dekoracje-malarskie-w-synagodze-mizrachi-w-bdzinie&catid=7:sztuka&Itemid=12)

Księgi ludności stałej Będzina, Archiwum Państwowe w Katowicach (Akta miasta Będzina)

## Urgacz – jedno z najstarszych nazwisk w Sosnowcu

■ Nazwisko Urgacz jest regionalne, czyli historycznie występujące tylko w danej okolicy – w tym przypadku mówimy o terenach dzisiejszego Sosnowca. Można się o tym przekonać przeglądając dane z bazy PESEL z 2014 roku<sup>2</sup>, z której wynika, że występuje ono głównie w Sosnowcu i okolicach (Sosnowiec – 96 osób, powiat będziński – 35, Dąbrowa Górnicza – 28, Katowice – 21). Na 324 osoby noszące to nazwisko w całej Polsce, w województwie śląskim występuje ich aż 244. W samym Sosnowcu zaś Urgaczowie stanowią prawie 30% wszystkich Urgaczów w Polsce. Warto jednak zauważyć, że liczba osób noszących to nazwisko drastycznie spada – w bazie PESEL z 2002 roku<sup>3</sup>, również dostępnej w internecie, czytamy, że nazwisko to nosiło łącznie 419 osób, zatem w ciągu 12 lat nastąpił znaczny spadek, bo o ponad 20%.

Dużo mówią nam również inskrypcje nagrobne okolicznych nekropolii – spacerując cmentarnymi alejkami z łatwością odnajdujemy groby Urgaczów. Tylko na cmentarzu sosnowieckim znajdującym się przy ul. Smutnej 5, który jest cmentarzem parafii WNMP, czyli obecnej katedry, pochowanych jest 96 osób o nazwisku Urgacz<sup>4</sup>.

Warto jeszcze odnieść się do innych form, które kojarzone były z tym nazwiskiem, a mianowicie forma Hurgacz i Furgacz. Według przytoczonej już wcześniej bazy PESEL<sup>5</sup> Hurgacz obecnie nie występuje, natomiast Furgacz występuje najczęściej w powiecie zawierciańskim. Jest jednak również nazwiskiem związanym z okolicą, gdyż na 175 osób noszących to nazwisko w Polsce, aż 133 występuje w województwie śląskim, w tym 76 w powiecie zawierciańskim (w Sosnowcu 13).<sup>6</sup>

### ■ Historia występowania

Już od kilku osób słyszałam, że Urgaczowie mieli pochodzić z Węgier. Brzmienie faktycznie mogłoby na to wskazywać, ale kto wie, może to na podstawie brzmienia powstała teoria o węgierskim pochodzeniu? I co wtedy z polską etymologią? Według J. Kasprowicza nazwisko pochodzi od gwarowego i dźwiękonaśladowczego czasownika “urgać” czyli “gruchać”. „Słownik gwar polskich” J. Kasprowicza przytacza taki oto przykład: *Jestem jak polna garliczka, co we dnie w nocy urgała*<sup>7</sup>.

Czy z Węgier czy z Polski, kiedyś jakiś pierwszy Urgacz przybył i osiadł nad Przemszą (lub żył tutaj od zawsze i takie "dostał" nazwisko – tego się już pewnie nie dowiemy). Jeśli więc przyjmujemy, że nazwisko jest sosnowieckie, przyj-

2 <https://nazwiska.ijp.pan.pl/haslo/show/id/17802>

3 <http://nlp.actaforthe.pl:8080/Nomina/Ndistr>

4 <https://sosnowieckatedra.grobonet.com/grobonet/start.php?id=wyniki&name=urgacz>

5 <https://nazwiska.ijp.pan.pl>

6 <https://nazwiska.ijp.pan.pl/haslo/show/id/29622>

7 Jan Kasprowicz: Słownik gwar polskich

rzyjmy się zatem historii jego występowania. W Sosnowieckiej Encyklopedii Historycznej Jana Przemszy-Zielińskiego<sup>8</sup> czytamy, iż jest to jeden z najstarszych rodów sosnowieckich wywodzący się z XVIII-wiecznych Hurgaczów zamieszkujących Pogoń. W innych opracowaniach tego regionalisty znajduję informację, że nazwisko występuje na tym terenie już na przełomie XVII i XVIII w. Rzeczywiście najprawdopodobniej miejscem, gdzie Urgaczowie zamieszkiwali, była głównie Pogoń, co potwierdzają zapisy metrykalne w okolicznych parafiach. Do 1819 roku parafią właściwą dla Pogoni, ale też szerzej, dla tzw. dóbr wsi Pogoń, które sięgały wówczas aż do ujścia Brynicy do Przemszy, czyli dzisiejszej Radochy, była parafia w Mysłowicach. Jadwiga, królowa Polski, w 1386 roku sprzedała wieś Wiesławowi i Piotrowi z Mysłowic i tak od tego czasu przez 433 lata Pogoń należała do parafii myśłowickiej. Dopiero w 1819 roku wieś ta została włączona do parafii św. Stanisława Biskupa w Czeladzi. Wyjątkiem są Milowice, które należały do parafii czeladzkiej nieprzerwanie od średniowiecza, stąd zdarzają się wpisy dotyczące Urgaczów w tejsze parafii wcześniej. Pojedynczo, również przed 1819 rokiem, osoby o nazwisku Urgacz występują także w parafii niweckiej, zagórskiej i będzińskiej. Doskonałym źródłem dla prześledzenia występowania nazwiska w przeszłości jest internetowa baza indeksów metrykalnych Geneteka, prowadzona przez Polskie Towarzystwo Genealogiczne<sup>9</sup>.

Warto przytoczyć też fragment opowieści Mariana Kantora-Mirskiego, przedwojennego regionalisty, który tak oto opisuje przeprowadzenie przez Sosnowiec kolei, i związane z tym faktem posiedzenie "starszyny", co również dowodzi o ważności chłopa o nazwisku Urgacz na tym terenie: *Z pierwszym świstem żelaznicy, która z hukiem wtargnęła tutaj, napełniając przeraźliwym jazgotem bory i lasy, pokrywające dzisiejszy obszar miasta, uleciało spokojne życie mieszkańców odwiecznych Sosnowic, którzy dotychczas pędząc sielskie życie rolników, czuli się szczęśliwymi. W ten pamiętny, ale szatański dzień, jak go nazwano, zebrała się gromada Sosnowic w Karczmie pod gwiazdą w której po Krzyształe gospodarzył Franek Gąsiorowski, aby wyzalić się między sobą i napomstować na piekielników, "co djabelską siłą, pędzą wozy po drągach żelaznych". Zasiadła przy jednym stole starszyna gromady: Stach Załęski, Franek Łabuś. Stach Tomecki, Maciek Marzec, Wawrzon Pałka, Jędrzych Skowroński, Szymek Urgacz, Józko Płatek, Marcin Oleś i Wawrzon Szewczyk (...)*<sup>10</sup>.

O występowaniu na terenie dzisiejszego Sosnowca Urgaczów mogą świadczyć również dane dotyczące uwłaszczenia chłopów. W 1864 roku gospodarstwo należące do niejakiego Szymona Urgacza, było największym z 18 gospodarstw chłopskich w części wsi Sosnowiec należącej do Gustawa von Kramsty<sup>11</sup>. Prawdo-

---

8 Jan Przemsza-Zieliński: Sosnowiecka Encyklopedia Historyczna. Sygnały biograficzno-tematyczne. Sosnowiec 1998.

9 <https://geneteka.genealodzy.pl/index.php>

10 Marian Kantor-Mirski: Z przeszłości Zagłębia Dąbrowskiego i okolicy, 1931, T, I, z. 21

11 Zdzisław Jedynak: Uwłaszczenie chłopów. W: Sosnowiec. Obraz miasta i jego dzieje, T. I

podobnie chodzi o tego samego Szymona zaliczonego przez Kantora-Mirskiego do "sosnowieckiej starszyny".

Na koniec jako ciekawostkę należy wspomnieć, że szerzej znanym Urgaczem stał się tylko Tadeusz, poeta, autor tekstów piosenek<sup>12</sup>. Kilka z nich na stałe weszło do kanonu popkultury, np. „Czarny Ali Baba” czy „Jabłuszko pełne snu”. Urodził się na Pogoni w 1926 roku w rodzinie urzędnika miejskiego, ale już w młodości wyjechał z Sosnowca na stałe.

### ■ **Moi „pra-Urgacze”**

Moje badania genealogiczne w przedmiotowym zakresie utknęły na początku XIX wieku w .... Chrzanowie. Tam 22 stycznia 1820 roku urodził się mój trzeci pradziadek (prapr pradziadek), Piotr Urgacz. Jego ojcem był Józef Urgacz, ale na nim ślad się urywa. Nie udało mi się jeszcze odnaleźć dokumentu, który informowałby o kolejnym, wcześniejszym pokoleniu. Galicyjskie metryki są niestety ubogie w informacje, udało mi się odnotować jedynie wiek Józefa podczas jego ślubu z pierwszą żoną w 1812 roku, oraz fakt, iż był rzeźnikiem. Ciekawostką jest fakt, iż w akcie tym Józef występuje pod nazwiskiem Hurgacz. Nie udało mi się odnaleźć aktu zgonu Józefa, a wiem (z aktu małżeństwa jego syna Piotra), że Józef zmarł w Chrzanowie przed owym ślubem, czyli przed 1843 rokiem. No cóż, może zaszła jakaś pomyłka, może zmarł akurat będąc poza Chrzanowem i tam ten fakt odnotowano?

Skąd jednak wziął się ten Chrzanów? Miasto to jest od terenów dzisiejszego Sosnowca oddalone, ale co najważniejsze, wówczas znajdowało się w innym zaborze. Co pociągnęło tam mojego przodka, zakorzenionego prawdopodobnie tutaj od wieków? Tego pewnie już się nie dowiem. Założyłam, że skoro Urgaczowie są z terenów dzisiejszego Sosnowca, to Chrzanów będzie tylko epizodem w historii rodu. Moje przypuszczenie opieram na razie na fakcie, iż syn Józefa, wspomniany już Piotr, w wieku 7 lat został przez ojca przyprowadzony do swojej ciotki do Czeladzi, aby uczyć się zawodu szewca. Ponieważ matka Piotra była chrzanowianką, zakładam, że owa ciotka musiała być z rodziny Józefa, czyli z dużym prawdopodobieństwem z rodziny Urgaczów. Skoro więc Józef miał w Czeladzi rodzinę, sam mógł się tam urodzić. Kolejnym krokiem w poszukiwaniach winna być parafia myślowicka. Mam nadzieję, że kiedyś uda mi się prześledzić jeszcze starsze dzieje rodziny i potwierdzić ich wielowiekową obecność na terenie dzisiejszego Sosnowca i okolic.

Osoby zainteresowane poszukiwaniami genealogicznymi rodziny o nazwisku Urgacz proszę o kontakt. Moi przodkowie w linii męskiej to: Franciszek Urgacz (ur. 1888 r. w Milowicach), Konstanty Urgacz (ur. 1854 r. w Czeladzi), Piotr Urgacz (ur. 1820 r. w Chrzanowie) i Józef Urgacz (ur. około 1773 r.).

Anna Urgacz-Szczęsna  
*annaurgaczszczesna@gmail.com*

---

12 [https://pl.wikipedia.org/wiki/Tadeusz\\_Urgacz](https://pl.wikipedia.org/wiki/Tadeusz_Urgacz)

## Michałowa Stefka – moja Babcia i bobok



*Bobok, malował Marek Pypno (2020)*

babcia Franciszka, a właściwie Frania Hałas. Tata Frani – Michał – nie miał własnego majątku, ale umiał czytać i wspaniale opowiadać, co w połączeniu z twarde, nieustępliwym charakterem dawało szacunek ludzi i pracę. Trafił przy tym na swoisty „złoty wiek” majątku Kuglerów gdzie jego umiejętności zostały docenione. Jak mówiła moja Babcia Stefa „trzymał klucze od spichrzy i stajni” Kuglerów. W wolnym czasie w małym domku, w którym mieszkali, spotykali się sąsiedzi i przyjaciele, żeby słuchać jak pięknie opowiada o tym, że „wielkie pociągi będą latać w powietrzu” i co słyhać za morzem i w Jędrzejowie. On opowiadał, że „w Ameryce albo Krakowie będą grać, a wy będziecie słuchać”. Słuchają z otwartymi buziemi, ale to co opowiada nie mieści się w głowach starszych słuchaczy, a i dzieci śmieją się z dziwnych fantazji klucznika Kuglerów. On lubi ten stan gdy może popisać się opowieściami przeczytanymi w gazetach i zasłyszanymi we dworze, gdzie czasem bywa z racji obowiązków. Gdzie może zobaczyć piękne obrazy wiszące na ścianach, a mówi się po polsku, francusku i niemiecku. Jest dziś klucznikiem w pięknym dworze Kuglerów, ale żeby mógł otwierać i zamykać bogate zakamarki dworu musiała wyrosnąć fortuna Kuglerów.

Historia zaczęła się na początku XIX wieku od przyjazdu angielskiego inżyniera, któremu powierzono uruchomienie huty pod Kielcami. Zginął on tragicznie, wciągnięty przez koło zamachowe w przeddzień uruchomienia zakładu. Jego syn otrzymał od rządu rosyjskiego odszkodowanie, za które nabył Mstyczów.

■ Informacje zawarte w tym artykule są opowieściami mojej Babcji Stefanii, zasłyszanymi bardzo dawno temu podczas wychowawczych, cyklicznych monologów zamykanych motywacyjną prośbą: „Maruś, bądź mądrzejszy!”

Dawno, dawno temu, w roku 1878, we wsi Klimontów, guberni kieleckiej w Królestwie Polskim Cesarstwa Rosyjskiego, przyszła na świat dziewczynka imieniem Franciszka, córka klucznika w majątku Kuglerów w pobliskim Mstyczowie. W przyszłości mama mojej Babcji Stefy, czyli moja prababcia Franciszka, a właściwie Frania Hałas.



*Ostatnie ślady po majątku Kuglerów w Mstyczowie (2020)*





Kolejny dziedzic majątku Bolesław Kugler wprowadził do miejscowości spore zmiany w gospodarce. Dzięki pokładom czerwonej gliny, które znajdowały się w okolicy, uruchomił wielką cegielnię. Specjaliści do produkcji cegły i dachówki sprowadzeni zostali podobno nawet z Chin.

Dom, dworem zwany, był parterowy, podpiwniczony, murowany z cegły i kamienia. Bolesław Kugler miał słynny w okolicy zaprzęg koni, którym często wybierał się do teatru do Krakowa. W salonie dworu znajdowały się obrazy, stylowe meble, lampy, dywany, lustra i fortepian. Najbliższe otoczenie dworu stanowił staw ze sztuczną wyspą i romantycznym mostkiem. Od bramy wjazdowej do dworu wiodła szeroka aleja i park z różnorodnymi gatunkowo drzewami. Nieopodal stawu stał starożytny słowiański „bożek” znaleziony w stawie przy robotach melioracyjnych. Staw był najprawdopodobniej pozostałością fosi po założeniu obronnym zbudowanym tu przed wiekami przez Słowian albo jeszcze wcześniej.

Frania nie służyła we dworze, ale w związku z tym, że tata tu pracował, mieszkała w zabudowaniach dworskich i ten dwór wydawał się jej domem. Gdy tylko nauczyła się chodzić towarzyszyła tacie w pracy. Ciekawił ją fascynujący świat bogatych właścicieli, odkrywany codziennie wciąż na nowo. Z biegiem lat uczy się we dworze pisać, czytać i nawet grać na pianinie.

Jak opowiadali mojej Babci sąsiedzi, jej mama była piękna i dumna. Zawsze jak to słyszałem przychodziła mi na myśl postać Justyny Orzelskiej z „Nad Niemnem”. Ta дума nie pozwoli Frani bez walki pójść za głosem rozsądku. Gdy ma 16 lat, pewnego wieczora do Jej ojca przychodzą swaty 32-letniego bogatego chłopa z Klimontowa, Michała Szczepanika. Jest późno. Ona śpi już w izbie obok, ale budzi się i słyszy jak ojciec dobija targu. Chce i wydaje Ją za obcego, starego mężczyznę. Koniec dzieciństwa, koniec marzeń o królewiczu z bajki. Jest uboga, nie ma domu, pola, co z tego że czyta „Pana Tadeusza”. Jest rok 1894. Ślub odbywa się w Mstyczowie w starym, XV-wiecznym, ale murowanym, nieistniejącym dziś kościele pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Potem wesele i panna młoda zmienia się z Frani Hałas we Franciszkę Szczepanik, żonę Michała Szczepanika, gospodynię w dużym gospodarstwie, gdzie stoi nie jakaś tam chałupa, ale wielki murowany dom, odziedziczony po rodzicach, z przestronnymi izbami i „ze złotymi kłamkami”, jak mawiała Babcia Stefa.

Coś poszło jednak nie tak i Franciszka ucieka od męża. Schronienie znajduje niedaleko, na skrzyżowaniu dróg, u kowala, w domu pani Wiewiórowskiej, pośrodku wsi Klimontów. Na kwaterunek zarabia przez dwa lata szyciem na maszynie, haftowaniem i cerowaniem dla kowalowej i sąsiadów. Jak to możliwe, że mieszka tak blisko męża i daje sobie radę z presją wiejskiego środowiska – nigdy już się nie dowiemy. Wiem natomiast, że Wiewiórowscy to nie była zwyczajna rodzina. Jeden syn został zesłany przez władze caratu na Sybir. Wrócił po 25 latach i pierwsze co zrobił to odwiedził dawną narzeczoną, wtedy już wdowę i ją poślubił. Drugi syn na I wojnie światowej poznał Rosjanę. Owocem tej znajomości było dziecko. Ona przyjechała do niego potajemnie na krótko do Klimontowa z dzieckiem, ale tak tęskniła za domem rodzinnym, że zdecydowała się zaraz

wracać. W oknie pociągu pokazała mu dziecko ostatni raz. Miał pecha, bo jego polska narzeczona z miasta przyjechała chwile później innym pociągiem i o wszystkim się dowiedziała od ludzi idąc przez wieś. Zawróciła na stację w Sędziszowie i już nigdy się nie pojawiła.

Wracając do Franciszki, to chyba jednak romantyczne marzenia o wielkiej miłości odkłada na bok, wszak Michał to dobry, bogaty gospodarz, ma nawet dwa konie i wraca do Michała, który wciąż zakochany, pokornie na nią czeka. Rodzi siedmioro dzieci, z których troje umiera w dzieciństwie. Dawno, ale nie tak bardzo dawno temu, w roku 1908, we wsi Klimontów, guberni kieleckiej, w Królestwie Polskim Cesarstwa Rosyjskiego, gdy Franciszka ma 30 lat, przychodzi na świat dziewczynka imieniem Stefania, czyli Michałowa Stefka, w dalekiej przyszłości mama mojej Mamy. Moja Babcia Stefa jest szóstą w kolejności i do końca życia w wieku 93 lat będzie o swojej mamie zawsze mówić „moja mamusia”. Do niej wszyscy na wsi będą mówić Michałowa Stefka – od imienia taty, Michała.

Jeden z braciszków – Janek umiera na gruźlicę kości w wieku 7 lat, a opowieści o jego okropnych krzykach przy próbie prostowania kolan wykrzywionych gruźlicą w domowych, wiejskich warunkach będą dla mnie realną wizją smutnych scen z „Janka Muzykanta”. Franciszka też umiera na gruźlicę w roku 1917 w wieku 39 lat, po ciężkiej chorobie i dodatkowo za rok zabiera ze sobą do nieba swoją 12-letnią córeczkę Balbinę, która pielęgnuje mamusię do śmierci w chorobie.

Moja Babcia Stefa ma wtedy 9 lat i zostaje jedyną kobietą na gospodarstwie. Gotuje obiady dla 5 osób, sprząta, szyje, ceruje, bo mamusia zdążyła wszystkiego ją nauczyć. Na początku nie wszystko jest perfekcyjnie wykonane, ale się stara i nie narzeka. Gdy pewnego dnia w czasie żniw pierwszy raz ugotuje obiad i okazuje się że brakuje go dla sąsiadów pomagających przy żniwach to po prostu dolewa wody. Trzeba sobie radzić, a nie ma się na początku kogo zapytać. Stefci bardzo brakuje mamusi, jej przytulanki, nauki domowych prac ręcznych i rozmowy o dziecięcych problemach. „Szczepaniki” są lubiani, a kobiety ze wsi pomagają jak mogą. Dziecięca gospodyni w wielkim domu też stara się, ale tata Michał nie radzi sobie po śmierci żony i jak to z chłopami bywa, szuka pocieszenia w ramionach innej. Tata jest dobrym człowiekiem, ale brakuje mu dorosłej, kobiecej ręki, rozmowy o przyszłości i wydatkach na wychowanie dzieci. Żeby było jeszcze trudniej to na oczach Stefci świat się zmienia.

11 listopada 1918 roku powstaje niepodległa Polska i nie trzeba już mówić i pisać po rosyjsku w urzędach i w księgach parafialnych. Zamiast w guberni kieleckiej mieszkają teraz w województwie kieleckim. To też prawdziwie niezwykle czas dla Mstyczowa i Klimontowa. Parafia Mstyczów jest od 2 lat zawieszona w wykonywaniu obrzędów religijnych. Stało się to ze względu na konflikt parafian i dziedziców Mstyczowa Kuglerów z byłym proboszczem, w związku z przyłapaniem byłego proboszcza na próbie sprzedaży organów kupionych do budowanego kościoła oraz faktu, że w Mstyczowie to parafianie sfinansowali postawienie w roku 1908 nowego kościoła, a który przez dziesięć lat nie doczekał się formalnej konsekracji. Ksiądz Andrzej Huszno obejmuje probostwo bez zgody władz

kościelnych i państwowych i za swoją „wywrotową” działalność i głoszone poglądy, na wniosek biskupa zostaje skazany przez władze na 10 miesięcy więzienia. Podczas aresztowania, w wigilię 1919 roku, mstyczowianie bronią kościoła i swojego charyzmatycznego proboszcza choć wysłane wojsko dostało rozkaz strzelania do tłumu. Awantura kończy się ekskomuniką watykańską oraz uwięzieniem księdza Huszny.

Od tych zdarzeń mija trochę czasu, gdy tata Michał żeni się w ponownie z młodą, ubogą wdową z sąsiedniej wsi. W domu narasta konflikt między dziećmi a macochą. Nieszczęścia chodzą często parami i tak jest w tym przypadku. Michał ma sporo pola i wiele pracy. Pewnego letniego, słonecznego dnia, skoszone i wyschnięte siano ładuje na wóz i stara się przycisnąć go drągiem, żeby wiatr nie zwiewał siana podczas jazdy. Drąg napięty na załadowanym wysoko sianie nagle łamie się, uderza Michała w pierś i zabija na miejscu. Jak historia pokaże to nie ostatnia śmierć w rodzinie spowodowana drągiem do ugniatania siana na wozie. Na gospodarce zostaje najstarszy syn Józef i macocha. Coraz więcej sprzętów znika wtedy z domu rodzinnego mojej Babci Stefy i ładuje za wsią u dzieci Jej macochy. Summa summarum wielki, piękny dom ze „złotymi klamkami” w końcu płonie, a na jego miejscu w Klimontowie powstaje mały dwuspadowy drewniany dom istniejący do dziś.

Babcia Stefa dorasta ciężko pracując w popadającym w ruinę gospodarstwie w ciągłym konflikcie z macochą. Kończy tylko cztery klasy szkoły podstawowej, bo po co dziewczynie szkoła. Wystarczy, że umie czytać i pisać. Michałowa Stefka chce się wyrwać z tego wiejskiego potrzasku i marzy o mieście, a ma już przecież 18 lat. Ratunku szuka w chłopcu, który pracuje w mieście. Decyduje się na ślub z nim, choć go nie kocha i nie wie jeszcze co to miłość.

Idą już trzecie zapowiedzi w kościele w Mstyczowie, gdy Stefkę zaprasza do siebie koleżanka z sąsiedniej wsi na poczęstunek. Jest bogato, jest kiełbaska domowej roboty, ciasto i wódka. Rodzice mają sklep, a koleżanka ma przystojnego chłopaka Władka, z którym są też po trzeciej zapowiedzi ślubu. Władek pochodzi z biednej rodziny – tata z Wierzbicy niedaleko Klimontowa, a mama z Klimontowa. Dom, w którym mieszkają jest w Klimontowie, niedaleko domu Stefy. Tak się dziwnie składa, że jego tata Piotr Cholewa umiera po wypadku identycznym, jaki miał tata Stefki. Gdy podczas załadunku siana na wysoki wóz całą swoją siłą nagina pałąk do zabezpieczenia siana i mocuje wygiętą do granic możliwości żerdź, pas mocujący pęka, a pałąk zrzuca tatę Władka z dużej wysokości na ziemię. Upadek jest śmiertelny.

Stefka kiedyś, jak była jeszcze podlotkiem, widywała Władka w kościele w Mstyczowie i bardzo jej się podobał. Wydawało jej się, że on też czasem za nią się oglądał. A swoją drogą ogromnie zazdrościła wtedy pięknie ubranym bogatym córkom Kuglera, które siedziały w kapeluszach w swojej ufundowanej przez ojca kościelnej ławce zaraz przy ołtarzu. Czasem po mszy podchodziła do tej ławki oznaczonej tabliczką fundatora i na chwilę siadała skromnie na brzeżku, by poczuć piękny zapach ulotnych perfum Kuglerównien.

Władek Cholewa wyjechał za chlebem do miasta, do Sosnowca. Miasto jeszcze w roku 1927 nie przeżywa światowego kryzysu gospodarczego i wciąż jawi się jak nowe Klondike z jego gorączką i szybkimi zarobkami. Albo jak nowe El Dorado, kraina czarnego złota. Władek urodził się w roku 1900, teraz ma 27 lat i jest ponoć bardzo szanowanym górnikiem na kopalni „Hrabia Renard”. Stefcia nie może tego powiedzieć o swoim aktualnym chłopaku, o którym ludzie na wsi mówią że „gówna w mieście wywozi”. I to zmienia wszystko.

W czasie poczęstunku u koleżanki Władek spogląda często na Stefę, a Stefa na Władka. Tak rodzi się uczucie. Zapada wieczorny zmierzch, trzeba się rozstać, koleżanka zostaje w domu, a Władek podejmuje się odprowadzić Stefę bezpiecznie do domu. Na pierwszych 100 metrach tego letniego spaceru informuje tylko, że wkrótce wraca do Sosnowca, ale po chwili zbiera się w sobie i stwierdza, że jeżeli ona się zgodzi, to on ją zabierze ze sobą do Sosnowca i ożeni się z nią.



*Władysław i Stefania Cholewowie (ok. 1929 r.)*

Jak mawiała Babcia Stefa trafił ją wtedy „grom z jasnego nieba”. No tak, ale Babcia jest po trzech zapowiedziach. Co tu robić? Wiele nocy nieprzespanych i nagle ciężkie brzemię ulatuje, a słodka decyzja zostaje podjęta, gdy kolejny raz słyszy, że jej dotychczasowy chłopak „w mieście gówna wywozi”. Władek przy drugim spotkaniu opowiada o Sosnowcu, gdzie pracuje na kopalni „Hrabia Renard” i o Klimontowie nieopodal Dańdówki, którego nazwa jest bliska sercu, gdzie mogliby zamieszkać u miejscowego Żyda za niewielkie pieniądze.

Ślub odbywa się zaraz po krótkich zapowiedziach w kościele w Mstyczowie w roku 1928, w tym nowym, murowanym kościele na miejscu kościoła, w którym pobrali się rodzice Władka oraz rodzice Stefy. Kościół jest piękny i ma wreszcie bogate wyposażenie. Front kościoła nad głównym wejściem zdobi wyniosła kilkupiętrowa wieżyca, w której mieszczą się bardzo wysoko dzwony. Dzwony biją dla nowo poślubionych małżonków na nową drogę życia. Po skromnym weselu wyjeżdżają do Sosnowca.

Władek nigdy nie chciał, żeby Stefa pracowała. Mówił: „grosze zarobisz, a dzieci nie dopilnujesz”. Po wielu latach pracy w kopalni miał pylicę i dorabiał sobie na rencie pracą w zieleni miejskiej. Opiekował się fontanną w parku Dietlów. Aż kiedyś pojawiłem się ja. Dziadek Władek mówił do mnie „mój kochany Marusik”, ale niestety tylko przez 9 miesięcy.



*Władysław i Stefania Cholewowie z dziećmi – Lesią i Poldkiem (ok. 1937)*

Babcia Stefa była dla mnie najważniejsza przez następne 20 lat. Niejadka straszyla bobokiem. Takim strachem z oczami jak świczki co siedział w kominie. Jego oczy widziałem jak pociągała za łańcuszek i otwierała drzwiczki wentylacji nad kafłowym kuchennym piecem. Bardzo mi jej brakuje. Jedyne co mogę zrobić, to powtarzać jej słowa „Maruś, bądź mądrzejszy”.

Marek Pypno  
mpypno@interia.pl

## „Śnieżka” – zawiła historia

■ Mam na imię Paweł, urodziłem się w Sosnowcu w 1981 roku (roku ogłoszenia stanu wojennego) jako drugie dziecko w rodzinie Eugeniusza Całka i Urszuli z domu Majewskiej, pierwszy tego imienia od sześciu pokoleń. W swoich odkryciach genealogicznych doszedłem do 1760 roku, kiedy to w Jakubowicach przyszedł na świat mój pradziad x 6 Józef Całka. Jak widać przebywałem kilkaset lat życia mojej rodziny i nigdzie po drodze nie spotkałem się z imieniem Paweł.

Jak to się zaczęło, że zwykły chłopak z Ludwika, z dzielnicy Sielec, zaczął się interesować genealogią? Odtwarzając w pamięci cały proces poznawania historii rodu, przypominam sobie, że któregoś dnia wziąłem ołówek, kartkę papieru i zacząłem przepytować skarbnicę wiedzy, jaką była moja śp. babcia Irena Całka z domu Kumór. Odkąd tylko sięgnę pamięcią zawsze fascynowały mnie rodzinne zjazdy u babci, no ale jako młody chłopak lat kilkanaście nie miałem pojęcia co to za wujek, co to za ciocia Pewnego dnia postanowiłem to wszystko uporządkować i spisać, a ponieważ babcia miała liczne rodzeństwo, bo wraz z nią było ich sześcioro, to było o czym pisać. Tak się zaczęła moja przygoda z genealogią, która trwa do dziś i niesie ze sobą wiele tajemniczych wątków. Jednym z nich jest historia „Śnieżki”, mojej drugiej babci, Władysławy Majewskiej z domu Danielczyk. Poniżej zamieszczam fotografię, na której są moje dwie ukochane babuleńki.



*Od lewej: babcia Władysława i babcia Irena (1989)*

Na początku historii o życiu „Śnieżki” chciałbym napisać, że miałem 9 lat, gdy w 1990 roku babcia zamknęła oczy. Jak przez mgłę pamiętam moje z mamą wizyty u niej w szpitalu, już ku zmierzchu jej tchnienia oraz puste szpitalne łóżko, które zastaliśmy pewnego dnia; ja zupełnie nie rozumiałem co się stało. Do dzisiaj

noszę w sercu wspomnienie o kochającej, czulej osobie, która odprowadzała mnie do przedszkola, uczyła grać w remika, sadzała na parapet swojego małego pokoiku w mieszkaniu przy ulicy Śląskiej 20, gdzie jedyną rozrywką było patrzenie na straż pożarną jadącą na akcje. Wtedy świat wyglądał inaczej, ciekawiej, toczył się w innym rytmie, bez telefonii komórkowej i Internetu.



*I Komunia Święta Pawełka. Na zdjęciu: Pawełek, babcia Władzia i babcia Irena*

Jako dziecko nie znałem pojęcia genealogia, więc nie byłem świadom tego, że straciłem możliwość spisania historii mojej babci za jej życia. Parę lat później, gdy ciekawość genealogiczna wzięła górę zacząłem wypytywać rodzinę o historię rodu Majewskich. Babcia Władysława, córka Stefanii Danielczyk, urodziła się w Grodzisku (Wielkopolska) 24 czerwca 1924 roku, prawdopodobnie jako jedyne dziecko prababki Stefanii. No ale żeby nie miał za łatwo, to właśnie w tym miejscu zaczynają się duże „schody”, które pokonuję do dziś.

Pokonując więc kolejne stopnie zastanawiałem się co mam zrobić, żeby zebrać więcej informacji o tajemniczym życiu babci. Czułem, że po pierwsze muszę przepyttać mamę i jej siostry o czasy, których nikt nie chce wspominać. Po drugie, muszę załatwić akt zgonu babci. Tak więc skierowałem się do USC i od tego momentu rozpoczęła się moja batalia poszukiwań informacji o niej. Nie dysponując narzędziami dostępnymi w obecnych czasach, zbierałem wiedzę poprzez to co znalazłem w raczkującym Internecie, i na spotkaniach Zagłębiowskiego Koła Genealogicznego. Wkrótce dowiedziałem się jakimi doskonałymi bazami danych dla genealoga są teczki dowodowe, księgi metrykalne, spisy ludności, płyty nagrobne. Zacząłem pisać do różnych instytucji z prośbą o pomoc w odnalezieniu dokumentów związanych z moją ukochaną, a zarazem intrygującą, jak się później okazało, babcią Władysławą.

Na jednym z wykładów genealogicznych usłyszałem o kopertach dowodowych. Zaintrygowało mnie to i tak udałem się do USC. Jak się później okazało takiej koperty nie odnaleziono. Po rozmowie z urzędnikami wywnioskowałem, że teczka dowodowa musi być na Pomorzu. Poprzez profil zaufany EPUAP złożyłem pismo o wydanie koperty dowodowej w urzędzie w Sławnie.



*Odciski palców wraz ze zdjęciem babci pozyskane z koperty dowodowej*

I tu sukces, bowiem od 1964 roku była tam w nienaruszonym stanie koperta dowodowa mojej babci. Obok zamieszczam jeden z dokumentów, który uzyskałem. W liście poleconym, jakim dostałem ze Sławna znajdował się wniosek o wydanie dowodu osobistego z 15 IV 1964 roku Wraz ze zdjęciem i odciskami palców babci. Na dowodzie figuruje data 1956 roku (ważny 5 lat), ciekawy rarytas dla genealoga, jak również niesamowita pamiątka w postaci zdjęć babci. A co dalej? Ponieważ mój głód genealogiczny nie był zaspokojony, udałem się do kolejnej instytucji, jakim był ZUS.

Wiedziałem, że babcia otrzymywała emeryturę, więc obrałem ten właśnie kierunek. Po złożeniu odpowiedniego wniosku dostałem możliwość uzyskania kserokopii oraz zgodę na obejrzenie oryginalnych dokumentów, które babcia składała w celu otrzymania świadczeń

emerytalnych. Przebieg pracy nakreślił, jaką drogę pokonała od Grodziska do Sosnowca. Pierwsza wzmianka pojawia się w roku 1947; pracowała wówczas jako bufetowa w stołówce urzędniczej. Następnie z przebiegu historii pracy można odczytać, że w 1949 roku w miejscowości Trzcinnno (obecnie województwo pomorskie) pracowała w pegeerowskiej kuchni oraz była przewodniczącą rady zakładowej do roku 1959 roku. W Trzcinnie 10 lipca 1955 roku wzięła ślub z moim dziadkiem, Eugeniuszem Majewskim. O okolicznościach ich spotkania nadmienię, że dziadek mieszkał w Radomsku. O okolicznościach zamieszkania na Pomorzu nic nie wiem. W każdym razie na Pomorzu przychodzą na świat trzy córki dziadków, w tym moja mama Urszula rocznik 1957.

W 1962 roku rodzi się ostatnia z trzech córek i od tego momentu do 1968 roku dziadkowie mieszkają na północy. Następnie podejmują decyzję, że dziadek zostaje z dziećmi w Słupsku, a babcia jedzie za pracą na południe kraju. I tak wkrótce zamieszkała w Sosnowcu, gdzie podjęła pracę w zakładzie Predom-Milmet. Z dokumentów wynika, że w 1974 roku zmieniła pracę przed przejściem na wcześniejszą emeryturę; pracowała w zakładach Chemi-Pral w Katowicach.

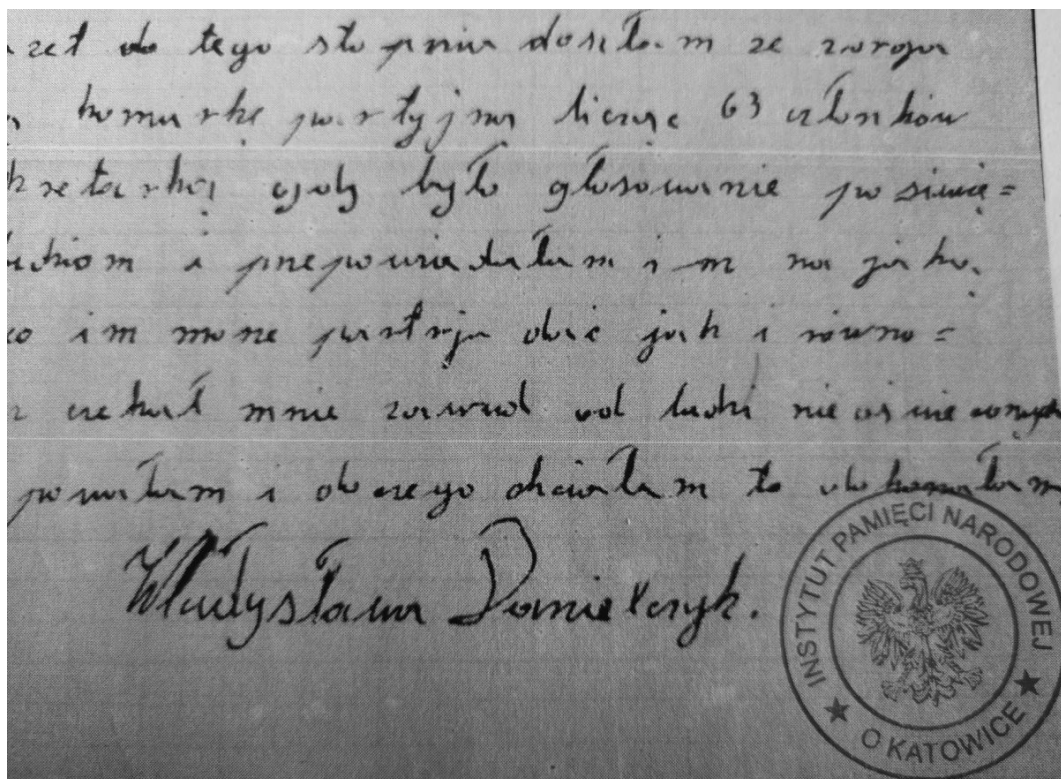


W 1979 r. uzyskała zaświadczenie o przejściu na emeryturę, którą pobierała aż do śmierci w 1990.

Dla genealoga, który miał już swoją wiedzę na temat poszukiwań ciągle było to za mało, bo jak z teczki z ZUS-u można odczytać przebieg pracy człowieka? Nadal nic nie wiedziałem o jej przodkach i o tym co działo się przed 1947 rokiem. Z teczki dowodowej więcej o przeszłości nie wynioskowałem. Co dalej?

Zacznijmy jednak od początku. W akcie urodzenia, jaki uzyskałem od USC w Grodzisku, jest informacja, że babcia urodziła się 20 czerwca 1924 roku i była córką Stefanii Danielczyk, danych ojca brak.

Brak również danych o wieku matki, a mojej prababki Stefanii. Powstaje luka lat 1924–1947. Praktycznie żadnych informacji nie mam, tyle, że na wniosku o dowód było napisane, że skończyła 8 klas, zawód wyuczony kucharka. Po ukończeniu szkoły w 1939 roku babcia znika mi z oczu, no ale wtedy wybucha wojna. Z przekazu jaki do mnie dotarł, została wywieziona do Niemiec, gdzie pracowała jako pomoc kuchenna. Gdzie? Tego nie wiem... Po wojnie wraca w rodzinne strony, gdzie nie zastaje nikogo z rodziny. Po wielu rozmowach i buszowaniu po Internecie wpadam na trop teczki personalnej informatora o pseudonimie „Śnieżka” dot. Danielczyk/Danielczuk Władysława, inne nazwiska Majewska imię ojca NN, imię matki Stefania, data urodzenia: 24.06.1924 r.



Fragment własnoręcznie napisanego życiorysu przez Władysława Danielczyk (IPN Katowice)

Po złożeniu odpowiedniego pisma w Instytucie Pamięci Narodowej w Szczecinie uzyskuję dostęp do karty informacyjnej, która obejmuje lata 1949–1952. Na szczęście wiedziałem, że przetrwał mikrofilm. Wszystkie wersje papierowe zostały zniszczone i tak o to po długim okresie oczekiwania dostałem akta babci.

W katowickim oddziale IPN po potwierdzeniu moich danych osobowych, czy jestem spokrewniony z osobą, której szukam otrzymuję kserokopię całej teczki informatora o pseudonimie „Śnieżka”. Pamiętam, to jakby było wczoraj, ręce mi się trzęsą, serce bije jak dzwon, a przede mną leżą dokumenty, które tylko ja widzę na oczy z całej mojej rodziny. Otwieram pierwszą stronę, ankieta personalna i niestety w rubryce „imię ojca” wpisane „NN”. Następnie kwestionariusz agenta informatora – dane podstawowe, które znałem, ciekawy wpis o wykształceniu – pojawiają się 4 klasy szkoły powiatowej i 3 klasy handlowej, a nie jak w kopercie dowodowej ukończonych 8 klas. Do 1939 roku babcia była uczennicą.

Po 1939 roku jest wzmianka, że Władysława Danielczyk pracuje jako kucharka i kelnerka w restauracji w Gorzowie, gdzie mieszka pod adresem ul. Tkacka 77. Zwerbowana w styczniu 1949 r. jako „dobrowolna chęć współpracy”. Na następnej stronie własnoręcznie napisany życiorys (*fort. powyżej*):

*Matki swej nie znam jak i również ojca od lat 7 zaczęłam chodzić do szkoły powszechnej. Ukończyłam 7 klas powszechnej i 3 klasy handlowej gospodarczej.*

Babcia wspomina, że mając lat 14 wyjechała na okres wojny do Niemiec, więc opowieści rodzinne się potwierdziły. Po wojnie wraca i nie zastaje nikogo z rodziny?! Ciekawe, bo matki i ojca nie znała, więc może był ktoś jeszcze... Kto? Wpisy poniżej świadczą o aresztowaniu babci i przewiezieniu do Gniezna w 1949 roku, gdzie zwerbowali ją na informatora o pseudonimie „Śnieżka”. Później wstąpiła do partii robotniczej; była sekretarką, która liczyła głosy na zebraniach.

Z raportu, który napisał oficer prowadzący 28 maja 1952 roku, ze spotkania z informatorem, tj. moją babcią, stwierdza że jest ona członkiem PZPR, ponadto stwierdza, że obecnie jest w ciąży i że ma jedno dziecko nieślubne, a sama jest panną. Ze względu na powyższe fakty nie nadaje się na informatora, jak również brak własnego mieszkania dyskwalifikuje ją na rezydenta. Przychodzi niechętnie na spotkania, albo w ogóle się nie stawia i wpis, że jest bezwartościowym informatorem, czyli balastem. Dzień później został napisany raport o wyłączeniu z sieci informacyjnej informatora ps. „Śnieżka”. To daje do myślenia, że babcia była w ciąży w 1952 roku, a najstarsza siostra mamy urodziła się w 1954 roku. Wiek wynika z tego, że babcia miała dwójkę dzieci przed małżeństwem z dziadkiem. Podobno były to dziewczynki Ewa, która zmarła po kilku miesiącach i Krystyna – jej los nie jest mi znany.

Najważniejszą informację jaką uzyskałem poprzez IPN był wywiad środowiskowy, który został wykonany w 1950 roku:

*Jak wynika z przeprowadzonego wywiadu na terenie miasta Grodziska, to wymieniona nie posiada matki ani ojca ponieważ jak zdołano ustalić to matka jej była panna porzuciła ją, a ona wychowywała się u swej babci w Grodzisku będąc*

*zatrudniona ponieważ musiała na się pracować była zatrudniona jako służąca na terenie miasta Grodziska. W 1939 roku babcia wymienionej zmarła, a ona opuściła tutejszy teren wyprowadziła się nam w nieznanym kierunku”*

I jeszcze jedna informacja z notatki, „że nie mogli ustalić gdzie przebywa jej matka i że krewnych nie posiada już na terenie Grodziska.

W ten oto sposób wyczerpują się możliwości genealoga, który zaczynając od USC poprzez koperty dowodowe z Pomorza i świadectwa pracy z ZUS-u w Sosnowcu, a skończywszy na Instytucie Pamięci Narodowej w Katowicach, dowiaduje się tego co powyżej. Na wiele zagadnień nie uzyskałem informacji, a rodzą się następne pytania. Zastanawiam się, co się stało z Krystyną, drugą córką babci. Lata wojenne są zagadką, powojenne 1947–1952 są latami tułaczki po wielu miastach. Co pozostaje, badania DNA? Księgi meldunkowe w Grodzisku, a może jakaś informacja o grobie na cmentarzu, gdzie została pochowana babcia babci?

Nie poddając się wykonałem parę telefonów do urzędu w Grodzisku i w Gorzowie, gdzie babcia była zameldowana po wojnie. Dzięki temu dowiedziałem się, że nie posiadają ksiąg meldunkowych. Zamyka się droga sprawdzenia do kiedy i z kim mieszkała pod podanym adresem w Gorzowie. O ile mi wiadomo budynek został zniszczony (obecnie stoi tam jakaś hala zakładowa).

Wiem jedno, w poszukiwaniu swoich korzeni nie wolno się poddawać, gdy zamykają się jedne drzwi, należy szukać następnych. Każda poszlaka może kryć jakiś wątek, który można rozwinąć. Jeżeli wszystkie źródła się wyczerpią wtedy zaczynamy przeglądać notatki, a nuż może coś gdzieś przeoczyliśmy. Najważniejsze jest, aby pamiętać jaki mamy cel, no i przede wszystkim, jeżeli są takie możliwości, to przepytywać seniorów i seniorki rodu. Szperać w zakamarkach strychów w poszukiwaniu starych zdjęć. Ja takich sposobności nie miałem, bo w tamtych

czasach mało było aparatów fotograficznych, a i babcia zmarła o wiele za wcześnie. Jest pochowana w Sosnowcu na cmentarzu Parafii Świętej Barbary przy ulicy Generała Andersa (sektor A6).

Paweł Całka



*Grób Władysławy z Danielczyków Majewskiej (1924–1990) w Sosnowcu*

## Będziński potomek arystokraty z Krymu

■ Będzin od Imielina dzieli zaledwie 30 km. 2 stycznia 2022 roku tę trasę przemierzył Janusz Ješko, aby poznać swoją siostrę Elżbietę, o istnieniu której dowiedział się zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Dla Janusza informacja o siostrze, to był przysłowiowy „grom z jasnego nieba”. Nie przypuszczał, że los podaruje mu w prezencie siostrę, szwagra, siostrzenicę oraz siostrzeńców. Przyzwyczał się już do tego, że ma tylko młodszego brata Jacka. Taki stan rzeczy trwał nieprzerwanie do czerwca 2021 roku. Wtedy to otrzymał korespondencję z domu opieki w Nowogardzie, z której dowiedział się, że zmarł jego rodzony brat Andrzej, o istnieniu którego nic nie wiedział. Placówka ta poinformowała go także, że ma jeszcze inne rodzeństwo. Jednocześnie zobowiązała go do odnalezienia ich w celu przekazania niewielkiego spadku po zmarłym bracie. Niestety, przepisy adopcyjne są bardzo rygorystyczne, więc poszukiwanie krewnych jest bardzo trudne. Rodzeństwo, które zostało rozdzielone w dzieciństwie przez instytucje adopcyjne, ma małe szanse, aby się odnaleźć.

Janusz niewiele wiedział o swojej rodzinie. Z opowieści dziadka Władysława znał tylko kilka wątków dotyczących jego przodków. Opowiadał mi o albumie z bardzo starymi zdjęciami naklejonymi na tekturkach, który otrzymał wiele lat temu od swojego wujka. Gdy przeglądaliśmy te piękne stare zdjęcia wpadliśmy na pomysł zbudowania drzewa genealogicznego. Chętnie się podjęłam tego zadania i wspólnie rozpoczęliśmy rozplątywanie zawilej historii jego rodziny. Z pomocą przyszedł też nieoceniony pan Mariusz Żelazko, który miał już duże doświadczenie w poszukiwaniu adopcyjnych rodzeństw i z istic detektywistycznym zacięciem podszedł do rozwiązania tej sprawy.

Elżbieta, mieszkanka Imielina, od swoich rodziców adopcyjnych wiedziała, że ma brata, ale nigdy go nie widziała i nie szukała. Jest szczęśliwą żoną, mamą i od niedawna babcią. Od 3 roku życia wychowywała się w rodzinie adopcyjnej, która dała jej dużo ciepła i miłości. Nie odczuwała braku rodzeństwa, ponieważ dorastała z synem i córką ojczyma, a w domu niczego jej nie brakowało. Nie wracała do czasów sprzed adopcji, żyła dniem dzisiejszym, z radością i wdzięcznością przyjmowała to, co dawał jej los. Nie chciała mieć nic wspólnego ze swoją przeszłością, jednak w głębi serca miała nadzieję, że kiedyś pozna brata i dowie się czegoś o swoich przodkach.

13 grudnia 2021 roku podjechałam pod jej dom w Imielinie. Zaskoczenie Elżbiety było olbrzymie. Wysłuchiła tego, co miałam jej do powiedzenia. Na chwilę zamilkła, nie mogła uwierzyć, że ktoś ją odnalazł po tylu latach. Dostała w prezencie nie jednego, a dwóch braci. Otrzymała również opracowane przeze mnie drzewo genealogiczne i sporo dowiedziała się o swoich korzeniach.

Elżbieta, Janusz i Jacek są potomkami krymskiego arystokraty Adama Smulskiego herbu Araż. Adam Smulski pochodził z białorusko-litewskiej rodziny tatarskiej. Urodził się w 1823 roku w guberni podolskiej. Podobnie jak jego dzia-

dek kapitan Salezy i ojciec rotmistrz Samuel wybrał ścieżkę kariery wojskowej. Wstąpił do wojska carskiego, gdzie z czasem awansował do rangi pułkownika. Podczas Wiosny Ludów został ranny i w wyniku odniesionych obrażeń stracił nogę. To zmusiło go do przejścia na wojskową emeryturę. W 1852 roku przeszedł z islamu na luteranizm i osiadł na stałe w Hołowiesku koło Bielska Podlaskiego. Ożenił się z Julią Prostewicz pochodzącą z Wołynia, z którą doczekał się jednego syna Aleksandra i pięciu córek: Heleny, Emilii, Zinajdy, Leontyny i Julii.

Aleksander (urodzony 21 lutego 1858 r.) – jedyny syn Adama, dumny ze swoich tatarskich korzeni, podpisywał się Ismail Selim Bek Smulski. On również, jak jego przodkowie, wybrał karierę wojskową. Osiągnął stopień generała w wojsku carskim. W ramach obowiązków służbowych często wyjeżdżał na Krym. Sprawował tam funkcję głównego inżyniera wojskowego portu w Sewastopolu. Ożenił się z Katarzyną Horwat (Horvath). Prawosławni przodkowie Katarzyny to Serbowie, którzy przybyli do Rosji z Węgier w XVIII wieku, aby kolonizować ziemię południowej Ukrainy.

Z małżeństwa Aleksandra i Katarzyny Smulskich urodziło się jedno dziecko – córka Julia, która przyszła na świat 9 sierpnia 1888 roku w Rewowce [koło Połtawy, red.] w Rosji, w majątku należącym do dziadków ze strony jej mamy. Babcia, baronowa von Pilar, aktywnie pomagała w wychowaniu dziewczynki.

Rewowka kiedyś należała do jej przodka – księcia smoleńskiego Michała Kutuzowa, który był postacią nietuzinkową. Pełnił funkcję m.in. feldmarszałka cara Aleksandra, był też współtwórcą klęski Napoleona. W 1813 roku w trakcie ostatecznego rozgromienia wojsk napoleońskich zachorował na tyfus i zmarł. Podobiznę tego rosyjskiego przywódcy możemy znaleźć na monetach i medalach. W Bolesławcu na Dolnym Śląsku, gdzie zmarł, został wzniesiony jego pomnik w formie żeliwnego obelisku. Do 1998 roku w Bolesławcu istniało też muzeum Kutuzowa, które zamknięto wraz z odejściem wojsk radzieckich.

W drzewie genealogicznym rodziny Smulskich jest wiele interesujących osób. Jedną z nich była wcześniej wspomniana Julia, wnuczka Adama Smulskiego. W dorosłym życiu była przyjaciółką cesarzowej Aleksandry, żony cara Mikołaja II Romanowa. Była damą dworu, nazywano ją pieszczotliwie Lili. W swoim pamiętniku opisała przeżycia związane z tragicznym losem rodziny carskiej, która zginęła z rąk bolszewików. Wspominała też piękne chwile, gdy poznała na dworze carskim swojego przyszłego męża, Carla von Dehna – kapitana marynarki wojennej i przyjaciela cara Mikołaja II.

9 sierpnia 1908 roku Julia urodziła swojego jedynego syna Aleksandra, zwanego przez carycę Titi. Caryca Aleksandra została jego matką chrzestną. Małżonkowie von Dehn mieli jeszcze dwie córki: Katarzynę i Marię. Po tragedii, która spotkała rodzinę carską, również rodzina von Dehnów znalazła się w niebezpieczeństwie. Uciekli do Hołowieska – majątku dziadka Adama Smulskiego. To tutaj Julia pochowała najpierw ojca (w 1925 roku), a potem męża (28 maja 1932 r.). W Hołowiesku znajdują się też groby jej dziadków, Adama i Julii Smulskich

oraz sióstr ojca: Emilii po mężu Henricci i Zinajdy po mężu Ostrowskiej. Po wojnie Julia została zmuszona do emigracji. Osiedła w Wenezueli w Caracas. Zmarła w Rzymie w 1963 roku. Do dziś mieszkańcy Bielska Podlaskiego mile ją wspominają.

Interesująca jest też historia linii Eli, Janusza i Jacka. Ich praprababcia Helena, córka Adama Smulskiego, wyszła za mąż za Assada Bek Sułtanowa. Pochodząca z tego związku Zinajda poślubiła Witolda Śliwińskiego – kapitana wojsk carskich, a po wyzwoleniu Wojska Polskiego. Z tego małżeństwa urodziła się jedna córka Helena (3 sierpnia 1905 r.). Małżeństwo Śliwińskich rozpadło się, gdy Zinajda zakochała się w przybyłym do Bielska Podlaskiego potomku chanów krymskich, Jakubie Wańczy-Gireju.

Helena Śliwińska poślubiła Włodzimierza Kuczyńskiego, z którym miała troje dzieci. Jednym z nich była mama Janusza, Teresa (urodzona 16 grudnia 1937 roku). W Będzinie 4 października 1969 roku odbył się ślub Teresy Kuczyńskiej z Janem Ješką (Ješko).

Trudna sytuacja rodzinna spowodowała, że część dzieci Teresy i Jana zostało oddanych do adopcji. Teresa do końca swoich dni nie powiedziała Januszowi, że ma jeszcze rodzeństwo. Informację o tym, ile miała jeszcze dzieci, uzyskaliśmy przeglądając koperty dowodowe w USC w Będzinie. Takie historie pewnie się zdarzają, ale ta historia niezbitnie pokazuje, jak genealog szukając przodków może pomóc w odnalezieniu żyjących członków rodziny.

Janusz w 62. roku swojego życia otrzymał piękny prezent, siostrę która okazała się wspaniałą osobą, pełną ciepła i miłości do swojej rodziny. Potrzebują teraz czasu, by związać zerwaną więź rodzinną i mam nadzieję że uda im się nadrobić ten stracony czas.



*Od lewej: autorka artykułu, Janusz Ješko i jego odnaleziona siostra Elżbieta*

Z ostatniej chwili!  
18 marca 2023 roku doszło do spotkania z kolejnym rodzeństwem, z Joanną i Robertem. Prawie sześćdziesięcioletni bliźniacy – brat i siostra – przyjęli tę niespodziankę z wielkim niedowierzaniem i szczęściem.

Anna Poznar

## O umieraniu



Otoczenie, które mnie ukształtowało było zwyczajne. Dom, podwórko i ulica porośnięta po obu stronach drzewami. Okna naszego mieszkania wychodziły na park nazwany z racji swojego położenia dołkami. Kochałam je. Dawały mi poczucie bezpieczeństwa jakiego nie zaznałam nigdy potem. W swojej szczenięcej naiwności wierzyłam, że „dołki” są moje. Dziecinada? Może.

Park od samego świtu wzywał, szczyrzył zęby w uśmiechu i pachniał. Mój Boże, byłam taką zasmarkaną szczęściarą. Siedzenie w gąszczu, gadanie do krzaków głogu było najlepszym zajęciem na świecie, i chociaż dołki, to nie jakiś tam Central Park, to tam nie bałam się niczego. Zamknięta w kokonie z gałęzi, zajęta kręceniem

wianków zapominałam o Bożym świecie.

Nasze mieszkanie nie było duże. Pokój z kiszkowatą kuchnią, bez wygod. Wszystkiego raptem 27 m<sup>2</sup>. Wzdłuż ulicy biegły dwa rzędy domów. Pobudowane jeden obok drugiego, stały krzywo. Dom pradziada Marcina, pamiętający czasy cara Mikołaja II Romanowa wyglądał na ich tle jak prawdziwy zabytek.

W 1975 roku skończyłam czternaście lat i wstydziłam się domu rodem z innej epoki. Żadna z moich koleżanek nie mieszkała w dziwnym relikwie po przodkach. Nastaly czasy bloków z wielkiej płyty, a u nas nadal królowały kafłowe piece na węgiel i Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus gapiąca się na mnie ze ściany.

Pragnęłam zmian. Zresztą odkąd umarli dziadkowie dom nie był już taki sam. Opustoszał i nie przypominał gwarne go miejsca sprzed lat. Wraz z nimi umarło rodzinne gniazdo. Jednak powolne umieranie tego tętniącego życiem domu, rozpoczęło się w latach sześćdziesiątych XX wieku. Był to akurat ten czas gdy przy Krakowskiej dorastali prawnukowie Marcina i Eleonory.

W lipcu skończyłam trzy lata, Krzysiu chodził do pobliskiej podstawówki, Jadzia do przedszkola, a najmłodszy Darek siedział na nocniku. I kiedy wydawałoby się, że moja rodzina szczęśliwie przebrnie przez kolejny rok, do drzwi domu zapukała śmierć. Tym razem przyszła po Halę i Felę.

W 1964 roku umiera Halina Solarczyk, córka Władka i Feliksi, a wkrótce po niej w styczniu 1966 roku odchodzi ciotka Felka. Miałam wtedy cztery lata. Ciało Felki złożone do trumny leżało w domu trzy dni. Były to dni pożegnania z matką, żoną, siostrą, babką, szwagierką, bratową, ciotką, sąsiadką. W dniu pogrzebu, w zimny styczniowy dzień, trumnę wyprowadzono frontowymi drzwiami, a potem powoli, powoli kondukt żałobny podążał do kościoła Świętej Trójcy

ulicą Krakowską i Kołłątaja, aby po mszy żałobnej kierować się na miejsce wiecznego spoczynku.



*Natalia Szewczyk (1925)*

Dla Natalii jej śmierć była prawdziwym ciosem. Siostry nie rozstawały się ze sobą od sześćdziesięciu ośmiu lat. A teraz co? Jak tu żyć bez Felki?!

Wincenty od dłuższego czasu chorował na serce. Z dnia na dzień tracił siły, ledwo poruszał nogami, zresztą całe to ich pokolenie marniało w oczach. Natalia od dawna postękiwała, a u Władka nasiliły się problemy z krążeniem. Najstarsi mieszkańcy domu pamiętający Marcina i Eleonorę, a także Mordka Szarfa, Zelmiana Kuperberga, Ginsberga oraz Rubinfelda, po kolei kładli się do łóżka i umierali.

W lipcu 1972 roku swą doczesną wędrówkę zakończył dziadek Wincenty. W butach wypastowanych na glanc, w wykrochmalonej koszuli, z rękoma splecionymi różańcem udał się w swoją największą podróż.

sza podróż.

Żegnała go najbliższa rodzina, krewni, sąsiedzi i przyjaciele. Żegnała go ulica Krakowska, dolina rzeki Ciemnej, ukochana buczyna, szumiąca dąbrowa i Józkowa zagroda, w której stała chata z trzema izbami jak za dawnych dziecięcych lat.

Babka po śmierci Wincentego wyrzuciła stary siennik i połowę małżeńskiego łóżka, a pozostałą częścią stojącą pod oknem miała nadzieję wypełnić pustkę po mężu. Jednak nic z tego nie wyszło. Obolała jakaś, łąziła z kąta w kąt, postękiwała, aż wreszcie poszła do szpitala.

Gdy mam dwanaście lat rozpoczyna się powolne umieranie Natalii. Umiera przez pół roku, dzień po dniu. Pewnego sierpniowego ranka jestem tak zajęta zabawą z Joasią, że zupełnie zapomniałam o powrocie babki ze szpitala. Rodzice są w pracy i tylko ja mam klucze do jej mieszkania. Nagle spostrzegam zamieszanie wokół domu, karetkę pogotowia, ludzi w białych fartuchach i Ją, która osłabiona chorobą ledwo stoi na nogach. A potem....

A potem rozpoczyna się Jej powolne odchodzenie. Po powrocie ze szkoły zaglądam do Niej. Otwiera oczy, liże suche wargi i cierpliwie czeka na basen. O godzinie piętnastej babka jest głodna. Na talerzyku układałam trzy plasterki szynki, dwie kromki chleba i jajko na miękko. Przygotowuję lampkę wina i wszystko zanoszę na tacy. Mama mówi, że w tej sytuacji lampka wina jest okej. Mam dwanaście lat i wiem, że babka umiera. Opiekujemy się nią na zmianę, mama, tata i ja. W południe zaglądała Wieśka, przynosi zupę albo mięso i kartofelki. Natalia lubi towarzystwo swojej siostrzenicy, kobiety z tej rodziny zawsze trzymały się razem.



Czasem jest tak, że babka przez wiele godzin leży zupełnie sama, a mimo to nie skarży się. Przez niewielkie okno wpada trochę światła, dochodzi gwar ulicy, czasem ludzki głos, albo szczekanie psa. Nie wiem o czym myśli, nie rozmawia ze mną. Stoję w kącie i gapię się. Ani usiąść, ani się odezwać, ani nic. Stoję więc i gapię się na wychudzoną twarz, na cienką skórę, zapadnięte, bezzębne usta i siwe włosy leżące na poduszce.

Tymczasem babkę trzeba myć, smarować, przebierać. Jej ciało niczym otwarta rana rozkłada się i cuchnie. Pomimo ciągłego wietrzenia powietrze w mieszkaniu ma w sobie coś takiego, że robi mi się niedobrze, a wtedy odwracam się i wychodzę.

Mama po powrocie z pracy gotuje rosół, a potem tata karmi nim babkę. Trwa to minutę, może godzinę, a może całą wieczność. Po posiłku babka opadała na poduszkę i patrzy w sufit. Wieczorem kąpiel, wycieranie, przebieranie. Babka jest tak chuda, że waży tyle ci nic. Może tyle co kura albo gęś. Uwijamy się. Czekamy. Potem znowu się uwijamy. Jednak pewnego styczniowego dnia wszystko się zatrzymuje. Tego dnia Natalia umiera.

Kilka dni po pogrzebie babki ojciec porąbał drugą część małżeńskiego łóża i szafę z szufladą na kluczyk. Dom wypełniła cisza. Gdy ogień pożerał ostatnie szmaty wyżarte przez mole, do pustego mieszkania dziadków wprowadzili się zupełnie obcy ludzie.

Od śmierci Wincentego i Natalii minęły trzy lata. W tym czasie zmarli najstarsi lokatorzy domu, Aniela Dulewska i Norbert Nowak. Dobra energia naszego domu uleciała w kosmos, a wraz z odejściem Tego pokolenia, skończyła się pewna epoka. Młodzi wynieśli się do bloków, a starzy na cmentarz.

A ja? Co ze mną? Dorastałam. Potrzebowałam własnej przestrzeni. Wanny, toalety, ciepłej wody w kranie. Potrzebowałam? Tak mi się wtedy wydawało. W 1976 roku po latach oczekiwania moi rodzice odebrali klucze do wymarzonego M-3. Całe 38,68 m<sup>2</sup>. O Matko! Mówiło się wówczas dostać mieszkanie, a nie kupić, wiadomo. Człowiek do lepszego przyzwyczaja się raz dwa i w nosie ma wychodek na podwórku oraz widok polnych myszy biegających po kątach.

Jednak wciąż wracam. Dom stoi do dziś. Niby ten sam, ale jakiś inny. Nie ma już płotu dzielącego nas od Wideraków. Nie ma już Wideraków... Nie ma zielonych drzwi. Nie ma starych okien. Nie ma wychodka na podwórku. Nie ma komórek na węgiel. Co jest? Nie wiem. Może jedynie pamięć o tym czego nie ma. Przychodzę więc, stoję i gapię się na tę moją przeszłość.

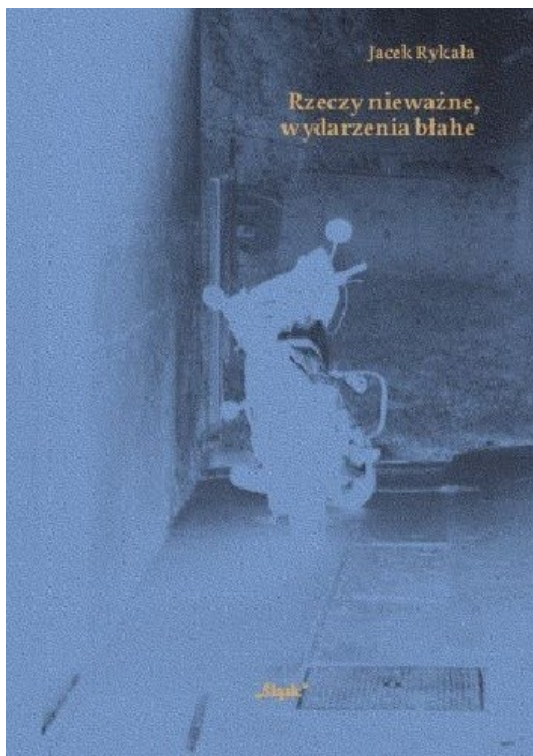
Dom, schody, sień, podwórze, zapamiętane dziecięcymi zmysłami, wydają mi się marne, szare i zbiedzone. Potykałam się o skurczone podwórko, ciasny korytarz, obcy zapach i ciszę wypełnioną jakimś dziwnym tworem.

I właśnie ta dzwoniąca w uszach cisza, tak irracjonalna dla tego tętniącego kiedyś życiem domu, uzmysławia mi, że ani dzisiaj ani juto, ani w jakiegokolwiek przyszłości, nie odnajdę już metafizyki tego miejsca.

*Fragment książki Kawa z praszczurami (2020)*

Bożena Westphal

## Ulica



*Rzeczy nieważne, wydarzenia błahe –  
okładka książki Jacka Rykały*

Była jasna. Wyglądała jak własne odbicie w lustrze. Prześwietlona na wylot światłem słonecznym, które docierało w najbardziej niedostępne, nieosiągalne dla wzroku miejsca. Także tam gdzie zardzewiała siatka, ogrodzenie dzikiego ogrodu, tworzyła autonomiczne obszary cienia, gdzie zeschnięte liście leżały bynajmniej nie tylko od ubiegłego roku. Naprzeciwko ogrodu był sklep mięsny, cały wyłożony białymi kafelkami, w którym na hakach wisały głównie parówki, pasztetowa i tania kiełbasa. Błyszczał cały niezmiernym światłem czarno-białego telewizora i kusił chłodem. To była jedna z największych moich przyjemności pójść do sklepu mięsnego o 6.30, kupić grube parówki i świeże bułki, a potem wracać ulicą pachnącą wilgotnym trotwarem, zamkniętym potrzaskanymi krawężnikami, na których, gdzieś tam pozo-

stały jeszcze białe ślady święta 1 Maja. Jezdnia, dziurawy asfalt, która jeszcze nie wyschła od rosy, lśniła i parowała w słońcu, a jej zapach, który wciągałem z lubością, wywoływał projekcje skojarzeń z jakimś kurortem, uzdrowiskiem czy czymś w tym rodzaju. No ale po kolei. Ulica była długości około kilometra i była przeczną jedną z dwóch głównych ulic Miasta. Zaczynała się parkiem Jordanowskim, zapuszczonym, ale nie ze względu na zaśmiecenie, w parku stały bowiem kosze na śmieci, a raczej z powodu braku ogrodnika. Koniec Ulicy wyznaczał kiosk z kwiatami, postawiony tam jako konkurencja wobec kobiet sprzedających kwiatki przed Cmentarzem, przy Ulicy był bowiem Wielki Cmentarz. Miał cztery części: żydowską, największą katolicką, ewangelicką i prawosławną. Te kwartały były niemy dowodem, czy może raczej świadkiem skomplikowanych dziejów Miasta. To tutaj bowiem, na przełomie wieków car pozwolił osiedlać się zesłańcom, którzy wracali z Syberii, kryminalistom i politycznym, a ponieważ Miasto (wtedy jeszcze wieś) w związku z odkrytym węglem stwarzało szansę szybkiego dorobienia się przybywali tu różni, dziwni ludzie. Około 35 procent mieszkańców stanowili Żydzi, skupieni wokół centrum, gdzie w naturalny sposób stworzyli dzielnicę żydowską. Mam zwyczaj oglądania przez lupę małych zdjęć

sprzed wojny. To niezwykle jak pod szkłem powiększającym maleńkie czarne punkciki na ulicach naszego Miasta zmieniają się w ludzkie postacie. Teraz, już bez pomocy lupy bezbłędnie potrafię wskazać te punkciki, które są wyznania moją zeszowego. Dokładnie w połowie Ulicy był przejazd kolejowy dla pociągów towarowych, po jego obu stronach, białoczerwone szlabany co raz opuszczały się lub podnosiły z charakterystycznym odgłosem metalicznego stuk. Nierzadko bywało, że przejazd zatrzymywał pogrzeb idący na Cmentarz, czasem nawet na kilkanaście minut, bo pociąg odczepiał kolejne wagony, jeżdżąc w tę i z powrotem. Zimą żałobnicy przytupywali w miejscu próbując się rozgrzać, nierzadko wyciągali butelkę i popijali z niej po kryjomu. Latem gdy postój przeciągał się, siadali na trawie pod murem ostatniego domu przed przejazdem po lewej stronie albo kupowali oranżadę u pani Oli w maleńkiej budce, tuż koło szlabanu, gdzie na półkach stały najdziwniejsze słodycze wyprodukowane domowym sposobem. Na tym przejeździe Badocha stracił rękę. Odciął mu ją pociąg gdy próbował przejść pomimo zamkniętych szlabanów, bo był pijany i poślizgnął się. Między przejazdem a Cmentarzem na ponad stu metrach rozciągał się kompleks ceglanych budynków starego zakładu przemysłowego. W części od ulicy mieściła się świetlica dla młodzieży, gdzie sam próbowałem nauki gry na gitarze, ale jałowy system wspólnego powtarzania chwytów skutecznie zniechęcił mnie do tego typu ekspresji artystycznej. W odległości około trzystu metrów od przejazdu kolejowego w stronę parku Jordanowskiego stał dom, w którym mieszkałem. Dwupiętrowa kamienica przylegająca do innych, podobnych, szczelnie wypełniających przestrzeń rogu Ulicy i jej przecznicy, na której kiedyś mieszkał Wielki Śpiewak Światowej Sławy. Wejścia w Bramę domu, w którym mieszkałem, miały w sobie coś z obrządku religijnego. Powtarzały się wciąż w tej samej formie, a mimo to dostarczały zawsze nowych, czasem zaskakujących przeżyć. Po przekroczeniu progu ciężkich zielonych drzwi wejściowych, w ostrej perspektywie Bramy pojawiał się ten sam kadr – fragment podwórka. Drzwi do komórki, poręcz nad nimi (komórki były piętrowe), spękany placyk porośnięty trawą. W czerwcu ów kadr na końcu perspektywy, utopiony w intensywnym świetle słonecznym, miał cechy nierzeczywistej projekcji – slajdu rzuconego z tandetnego, mocno wyeksploatowanego już rzutnika. Obraz nie był statyczny, drgał i pulsował. Zimą graficzność świata odślaniała bogactwo walorów dawno niemalowanych ścian Bramy, które do połowy wyłożone kafelkami z secesyjnym wzorem, zwieńczone dwoma granatowymi paskami, tworzyły coś na kształt fragmentów scenografii o krakowskim rodowodzie. Lubiłem zatrzymać się na chwilę w tej pustej przestrzeni odbijającej zniekształcone odgłosy ulicy. Naprzeciwko domu, w którym mieszkałem stał inny, podobny, narożny. Obok niego zaczynała się przecznica, przy której był szpital kolejowy, który pełnił także rolę pogotowia dla okolicznych mieszkańców. Na drugim piętrze tego domu mieszkała liczna rodzina. Składała się z wiecznie pijanego ojca, niskiej, tęgiej mamy, której głowa stanowiła jedną czwartą wzrostu kobiety, oraz pięciu córek. Ojciec był nerwowy (podobno nie mógł pogodzić się z faktem, iż nie ma syna), często wyrzucał, również zimą, żonę z dziewczynkami na balkon, najczęściej nocą, dziewczyny

były tylko w koszulach nocnych, po czym zamykał drzwi. Po chwili Ulica wypełniała się ich krzykiem: „Milicja! Na pomoc!” Kobieta i dziewczynki krzyczały przejmująco, zaraz więc w oknach pojawiali się ludzie, ktoś dzwonił na milicję, która przyjeżdżała i zabierała pijanego Tatusia. Tak było aż do momentu gdy na drugim piętrze rozegrał się dramat. Otóż pewnego dnia do drzwi wspomnianej rodziny zapukała nauczycielka jednej z dziewczynek. Mała nie chodziła do szkoły. W domu był tylko pijany Tatuś. Nie wiadomo jak wyglądała rozmowa między nimi, wynik jej był tragiczny. Mężczyzna zabił nauczycielkę młotkiem. Poszedł do więzienia na wiele lat. I tu nastąpiła niezwykła przemiana pozostałej w domu żony mordercy i jego pięciu córek. Zaczęło się od wiadra z kwiatami. Kobieta pozostawiona z piątką córek codziennie stała pod murem obok sklepu spożywczego, była to trasa na Cmentarz, i sprzedawała świeże kwiaty. Po pewnym czasie postawiła w tym miejscu budkę, a córki podrosły i zaczęły jej pomagać. Później w miejscu budki stanął całkiem duży kiosk i kobieta zaczęła jeździć zniszczonym polonezem. No i tak dalej. Ja wprawdzie wtedy już przestałem mieszkać na Ulicy, czasem przecież kupowałem u nich kwiaty, widziałem więc zmiany, które następują. Kobieta wykupiła dom, w którym mieszkała na własność, a jej córki jeździły nowymi samochodami. Stara kobieta z wielką głową nie zajmowała się już sprzedażą tylko asystowała córkom siedząc na krzeselku w takim miejscu na zapleczu sklepu, że otwarte drzwi wystarczająco zapewniały jej dokładny ogląd kupujących. Gdy mnie widziała mówiła zawsze to samo: – Pozdrowić mamę.

*Książka „Rzeczy nieważne, wydarzenia błahe” jest wyborem tekstów powstałych na przestrzeni czterdziestu lat, które autor podzielił na opowiadanka, wierszyki i dramacik. Publikacja została wzbogacona fotografiami autorstwa Jacka Rykały, które podobnie jak zawarte w książce teksty, działają mocno na wyobraźnię odbiorcy.*

*Jacek Rykała, Rzeczy nieważne, wydarzenia błahe,  
Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, 2016*

## Poezja

### Rodzinka

*Moi wujowie byli przeróżni –  
z torsem pękатыm albo podłużnym.  
Wuj z Mazowsza miał groźne wąsy,  
chudy jak szczapa w kuchni wciąż  
krążył.*

*Apodyktyczny, nieco przygłuchy,  
kiedy przemawiał milkły też muchy.  
Wuj moczymorda lubił balować,  
potem przed żoną w szafie się chował.  
Prawie do setki kochał kóbitki,  
miał do ich wdzięków pociąg niezwykły.  
Henryk o wojnach snuł sto tasiemców,  
jak to rozgramiał Ruskich i Niemców.  
Był też artysta, co piał donośnie,  
często o świecie boso i sprośnie..  
Najukochańszy był wuj Leopold –  
o nim wspomnienie w sercu mam dotąd.  
Ciotki w młodości były urocze,*

*zwłaszcza Irena z jasnym warkoczem.  
Ponoć wielbiła mężczyzn w mundurze,  
wdzięk jej spojrzenia majora urzekł.  
Lodzia z misternym łokiem nad okiem  
nawet na zdjęciach błądzi w obłokach.  
Wciąż malowała, wiersze pieściła,  
gdy się wydała, migiem utyla.  
Anna – mistrzyni jadła i stołu,  
złapała męża na smak rosółów.  
Krązą w rodzinie afrodyzjaki,  
których użyła pichcąc przysmak.  
Dzieci kochały krągłą Dorotę,  
za jej fantazję, koty i psoty.*

*Wiszą na ścianach, sterczą w albumach –  
z nutką nostalgii o nich podumaj!*

Wiersz z tomiku „Przykurzony Anioł”



### Dziadunio

*Mama nie mogła się w szkole  
pochwalić dziadkiem Franciszkiem.  
Nie uprawiał wspólnej roli, ani nie  
posiadał  
krawata w jedynie słusznym  
kolorze.*

*Ale miał wszechwidzące  
rogowe okulary  
i poukładany w niepozornej etażerce  
cały świat.*

*O zmierzchu przemierzał z wnukami  
bezkresne stopy,  
zapalał świeczki na grobie Podbipięty,  
zabierał nad utracony Niemen.  
W końcu układał do snu  
zapłakaną Oleńkę.*

Wiersz z tomiku „A bogowie prują ściegi”

### *Endorfiny Haliny*

Babcia Halina brała życie za rogi  
nawet odejście męża  
nie wywaliło jej z butów  
krzątała się w nich często  
gęsto podśpiewując  
wolne godziny  
pielęgnowała równie ochoczo  
jak marchewki i róże  
Boga podejmowała z uśmiechem  
ubrana w nocną koszulę

Babcia Marynia do głębi liryczna  
w kapeluszach chciała dorównać  
prawdziwym damom  
połykając romanse zalewała się łzami  
przy losie Stefci Trędowatej  
wyprzedzała o kilką kroków  
nieszczęścia

przebywała jakby  
tylko na pół gwizdką  
w codzienności

ogólnie  
dwa razy krócej niż Halina

### *Modliłło*

Od lat na najważniejszej ścianie.  
Zawsze nad łóżem.  
Pocziwa polską pyza.  
Krew z mlekiem.  
Tylko usta maźnięte  
ostrym karminem w hollywoodzki ciup.  
I kędzierzawy blondyn ozdobiony  
hebanowym wąsikiem. Dziw natury.  
Prawie przez pół wieku w tę samą stronę  
uśmiechnięci.

Ona cała w tiulach.  
On w obowiązkowej czerni upstrzonej  
muchą,  
Niejedną, bo kłopiowaną przez pracowite  
miejscowe owady.  
Przykładnie przechodzą przez oczy  
kolejnych zstępnych,  
choć najmlodszy wnuk zauważył –  
dziadzio był przecież łysy  
z dziada pradziada.

Dajcie spokój, i tak nie zdejmujemy –  
zawyrokował ojciec

## Sylwetki autorów

**Beata Abdallah–Krzepkowska** – dr nauk humanistycznych. Całe życie związana jest z Zagłębiem Dąbrowskim – urodziła się w Dąbrowie Górniczej, gdzie nadal mieszka. Ukończyła arabistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pracuje jako adiunkt w Zakładzie Orientalistyki na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Śląskiego; naukowo zajmuje się językowymi i społecznymi aspektami islamu. Genealogią zaczęła się pasjonować w wieku 14 lat.

*Artykuł: Zagłębiowski Kunta Kinte...*

**Gabriela Bartnicka** – sosnowiczanka z urodzenia i sentymentu jak o sobie mówi, miłośniczka zwierząt, przyrody i podróży. Z zawodu nauczycielka i bibliotekarka. Pisze wiersze, teksty piosenek i krótką prozę, które publikuje w Internecie, czasopiśmie, almanachach i wydaniach książkowych (5 tomików indywidualnych, tomiki pokonkursowe). Wielokrotnie nagrodzona i wyróżniona za poezję w ogólnopolskich konkursach. Otrzymała również nagrody przyznane przez ZAKR za teksty piosenek; z muzyką Lucjana Wesołowskiego prezentowane były na koncertach i festiwalach, a kilka z nich zostało nagranych na płytach „Tradycja” i „Warszawo ma”. Można je też usłyszeć m.in. w Teatrze Żydowskim w Warszawie. Od 2011 r. jest członkinią będzińskiego oddziału Stowarzyszenia Autorów Polskich.

*Wiersze*

**Paweł Całka** – prezes Zagłębiowskiego Towarzystwa Genealogicznego. Urodził się, mieszka i pracuje w Sosnowcu; miłośnik książek i dobrego kina oraz fanatyk puzzli, a genealogią zajmuje się od 25 lat.

*Artykuł: „Śnieżka” – zawiła historia”*

**Andrzej Ciepał** – geograf – absolwent Uniwersytetu Śląskiego, emerytowany nauczyciel związany z Katowicami, przewodnik turystyczny PTTK; wielokrotnie nagradzany za pracę z młodzieżą w turystyce z zamiłowania regionalista i genealog; autor publikacji *Żydowski Będzin. Plan miasta, Będzińska nekropolia na Górze Zamkowej* oraz licznych artykułów (Oficyna Saturnowska, Klub Zagłębiowski). W szczególności interesuje się historią Żydów będzińskich. Jest członkiem zarządu fundacji Brama Cukermana w Będzinie. Od 2023 r. redaktor Rocznika ZTG Proavus.

*Artykuły: Cukiermanowie – fundatorzy bóżnicy w Będzinie w świetle badań genealogicznych, W poszukiwaniu Altka Wienera*

**Andrzej Kotulecki** – uznany dziennikarz radiowy (Polskie Radio Katowice) i prasowy, redaktor popularnych audycji: „Lato z radiem”, „Sygnały dnia”, „Cztery pory roku”, „Z kraju i ze świata”. Zawodowo związany był z górnictwem (kopalnie: Czerwona Gwardia, Milowice-Czeladź, Czeladź). Jest autorem książki „Tak rodzi się górniczy stan” o dąbrowskiej Sztymarce, której był absolwentem. Jako fotograf–pasjonat jest autorem wystaw: „Lwów. Miasto, które pokochałem” i „Lwowskie nekropolie”. Współorganizował „Otyliadę”. Mieszka w Sosnowcu.

*Artykuł: Trzy pokolenia sosnowieckich księgarzy*

**Anna Poznar** – urodziła się w Szczekocinach w rodzinie nauczycielskiej, a mieszka w powiecie będzińskim. Jest absolwentką kulturoznawstwa Uniwersytetu Śląskiego, pracuje jako bibliotekarka w Siewierzu. Od wielu lat jej pasją jest genealogia – opracowała drzewo genealogiczne nie tylko swojej rodziny, ale również spokrewnionych rodzin. Jest członkiem zarządu Zagłębiowskiego Towarzystwa Genealogicznego. W 2010 r. w zorganizowała w Szczekocinach Zjazd Rodziny Wierzbowskich. Aktywnie uczestniczy w lokalnych projektach, m.in. *Szczekociny na starej fotografii*.

*Artykuł: Będziński potomek arystokraty z Krymu, Historia ZTG*

**Marek Pypno** – sosnowiczanie, emeryt, inżynier specjalista od głębiania górniczych szybów i rewitalizacji zabytkowych szybów kopalni Guido i Wieliczka. Ukończył Technikum Energetyczne w Sosnowcu, a następnie Wydział Mechaniczno-Energetyczny Politechniki Śląskiej w Gliwicach oraz Wydział Inżynierii Mechanicznej i Robotyki na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Skarbnik w zarządzie Zagłębiowskiego Towarzystwa Genealogicznego. Malarz–amator z Grupy Sieleckiej.

*Artykuł: Michałowa Stefka – moja Babcia i bobok*

**Jacek Rykała** – urodzony w Sosnowcu uznany artysta malarz, poeta, dramaturg i reżyser teatralny, profesor Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach (prowadzi Pracownię Malarstwa); w 1976 r. ukończył Wydział Grafiki w Katowicach. Swoje prace prezentował w ponad 50 wystawach indywidualnych i 250 zbiorowych, kilkudziesięciu targach sztuki na całym świecie. Jego prace znajdują się w wielu polskich muzeach. Od 2005 r. realizuje także własne sztuki w teatrze (*Dom przeznaczony do wyburzenia* i *Mleczarnia* w Teatrze Śląskim, *Chłodne poranki* w Teatrze Zagłębia). Nakręcono o nim 8 filmów telewizyjnych. Jest laureatem kilkudziesięciu nagród i wyróżnień. Odznaczony został Złotym Krzyżem Zasługi oraz Srebrnym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.

*Ulica – fragment książki Rzeczy nieważne, wydarzenia błahe*

**Anna Urgacz-Szczęsna** – sosnowiczanka. Ukończyła socjologię na UŚ; pracuje w Sosnowieckim Centrum Sztuki – Zamek Sielecki. Autorka artykułów prasowych dotyczących Zagłębia Dąbrowskiego, m.in. w Gazecie Wyborczej. Członkini Zagłębiowskiego Towarzystwa Genealogicznego, pomysłodawczyni i redaktorka internetowego Klubu Sosnowieckiego, a następnie Klubu Zagłębiowskiego, w którym łączy swoje pasje: Sosnowiec, historię i genealogię.

*Artykuł: Urgacz – jedno z najstarszych nazwisk w Sosnowcu*

**Bożena Westphal** – genealog (do przejścia na emeryturę prowadziła własną firmę usługową), wcześniej zawodowo związana była z placówkami kultury. Miłośniczka własnego regionu, członkini zarządu Zagłębiowskiego Towarzystwa Genealogicznego. Od wielu pokoleń związana z Będzinem. Jest autorką książek *Kawa z praszczurami* oraz *Będzińska nekropolia na Górze Zamkowej*.

*Artykuły: Historia Zagłębiowskiego Towarzystwa Genealogicznego  
O umieraniu (fragment książki Kawa z praszczurami)*





